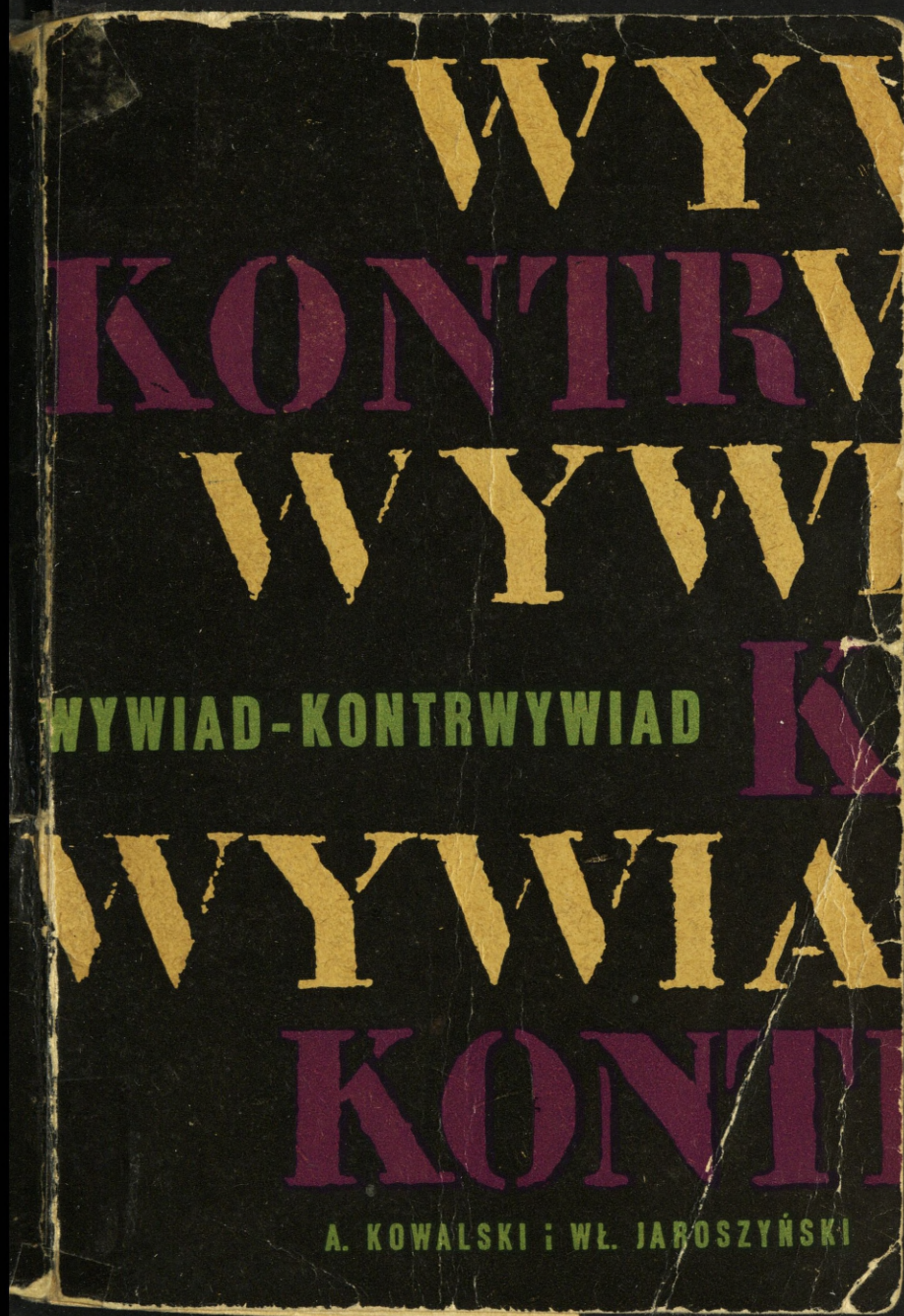


Grey Scale #13



DANES
PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



WYV

KONTRV

WYVW

WYWIAD-KONTRWYWIAD

K

WYVWIA

KONTI

A. KOWALSKI i WŁ. JAROSZYŃSKI

ISKRY

WYWIAD-KONTRWYWIAD

Antoni Kowalski i Włodzimierz Jaroszyński

WYWIAD-
KONTROWYWIAD

VIII. 5.5.5;

XXIII. 3;

ISKRY

W A R S Z A W A 1 9 6 3

Okladkę projektował
ROMAN CIEŚLEWICZ



PRINTED IN POLAND

Pierwsze informacje

W tym samym czasie, gdy amerykańskie badania atomowe znajdowały się jeszcze w powijakach, a przebywający na emigracji w USA uczeni kilku narodowości poszukiwali dopiero gorączkowo dróg wiodących do skonstruowania pierwszej na świecie bomby atomowej, natrafiając przy tym na olbrzymie trudności techniczne, do centrali OSS — amerykańskiego wywiadu strategicznego — oraz brytyjskiej Intelligence Service zaczęły napływać z terytorium III Rzeszy niepokojące meldunki o pracach fizyków niemieckich z Instytutu im. Cesarza Wilhelma, zmierzających do tego samego celu.

Jesienią 1942 roku duża szafa pancerna, znajdująca się w gabinecie szefa Secret Service, lorda Hanleya, w gmachu War Office**, pęczniała od żółtych, tekturowych teczek zawierających meldunki, raporty i informacje agenturalne dotyczące niemieckich badań atomowych.

Pracownicy sekcji specjalnej IS, do których należało sprawdzanie, ewidencjonowanie i opracowywanie tych informacji, znajdując się pod urokiem tradycyjnie dobrej

* Wszystkie opowiadania zawarte w tomie oparte są na autentycznych wydarzeniach z dziejów drugiej wojny światowej, przy czym zmieniono nazwiska osób, często miejscowości, trzymając się jedynie ściśle przebiegu wydarzeń (przyp. red.).

** Brytyjskie Ministerstwo Wojny (przyp. aut.).

opinii o nauce niemieckiej, byli przekonani, że lada dzień hitlerowska bomba atomowa stanie się rzeczywistością.

W przekonaniu tym musiały ich jeszcze bardziej umacniać meldunki napływające w tej sprawie. W lipcu 1942 roku pewien ściśle zakonspirowany agent amerykańskiego wywiadu przesłał do centrali OSS w Waszyngtonie alarmujący meldunek. Agent ten, którego nazwisko nie zostało dotychczas ujawnione, ponieważ prawdopodobnie pracuje on nadal w służbie tajnej, donosił, że uczeni niemieccy pod kierownictwem szefa Urzędu Badań Naukowych SS, brigadeführera doktora Rudolfa Menzla, mieli przystąpić w najbliższym czasie do budowy reaktora atomowego, pracującego na uranie naturalnym U 238, przy wykorzystaniu ciężkiej wody (deuteru) w charakterze moderatora. W zestawieniu z inną informacją donoszącą o istnieniu w III Rzeszy tajnego memoriału niejakiego Houtermanna, który wskazywał w nim na możliwość otrzymywania czystego plutonu w reaktorze atomowym w sposób ciągły i automatyczny, fakty te nabierały przerażającej wymowy. Uczeni alianccy wiedzieli już bowiem, że pluton, sztuczny pierwiastek promieniotwórczy o symbolu Pu i ciężarze atomowym 239, można było otrzymać w wyniku procesów jądrowych przebiegających w reaktorze pracującym na uranie 238, przy zastosowaniu spowolnionych neutronów. Pochłanianie części neutronów przez jądra uranu 238, które nie ulegały rozbiciu, powoduje właśnie przekształcenie uranu w pluton, który podobnie jak uran 235 z powodzeniem może być wykorzystany do produkcji bomb atomowych. W porównaniu z uranem 235 pluton ma na domiar wiele cennych zalet. Nie będąc bowiem izotopem uranu różni się od niego pod względem chemicznym i oddzielenie go od uranu naturalnego nie przedstawia większych trudności. Inaczej jednak ma się

rzecz z izotopem uranu 235, którego wydzielenie z uranu naturalnego 238 jest bardzo trudne, wymagające zastosowania niezwykle skomplikowanych i kosztownych urządzeń technicznych.

W tym czasie Niemcy hitlerowskie, mające już poważne kłopoty z utrzymaniem na właściwym poziomie produkcji wojennej służącej zaopatrzeniu frontów, nie byłyby w stanie podołać budowie takich urządzeń. Dla rzeczoznawców alianckich nie ulegało więc wątpliwości, że uczeni niemieccy będą starali się wyprodukować bombę atomową w oparciu o pluton, jako tani i łatwy do uzyskania jądrowy materiał rozszczepialny.

Przypuszczenia te potwierdziły wkrótce meldunki, które nadeszły z Norwegii. Brytyjsko-norweska organizacja wywiadowcza donosiła, że norweskie zakłady elektrochemiczne „Norsk-Hydro” otrzymały polecenie zwiększenia produkcji deuteru (ciężkiej wody) z 1 000 do 4 000 kilogramów rocznie. Sprawą tą zainteresował się natychmiast specjalny podkomitet o kryptonimie „Maud” powołany przez brytyjskie Ministerstwo Wojny w ramach Naukowego Komitetu Studiów Wojny Powietrznej. Podkomitet „Maud”, skupiający najwybitniejszych brytyjskich fizyków atomowych, uznał fakt ten za oznakę rozpoczęcia przez Niemców masowej produkcji materiałów rozszczepialnych w stosie atomowym, w którym deuter odgrywał rolę moderatora. Świadczyło to, że uczeni niemieccy wyszli już poza stadium prób i przystąpili do produkcji plutonu, a zatem i prac nad konstrukcją pierwszej bomby atomowej. Na polecenie premiera Wielkiej Brytanii, Winstona Churchilla, pracownicy „Maud” obliczyli, biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, że Niemcy byłyby w stanie, gdyby im w tym nie przeszkodzić, wyprodukować swoją bombę w ciągu roku. Na wieść o tym w brytyjskich i ame-

rykańskich kołach rządowych, dowództwach naczelnych i sztabach wybuchła panika. W oparciu o posiadane informacje można było bez wątpienia stwierdzić, że fizycy niemieccy znacznie wyprzedzili swoich kolegów z drugiej strony frontu w pracach, mających na celu zdobycie pierwszeństwa w wyprodukowaniu najstraszliwszej broni. Sojusznicy postanowili z całą energią, pobudzaną jeszcze bardziej przez strach, przystąpić do kontruuderzenia.

Niebezpieczeństwo rośnie

Niebezpieczeństwo rosło z każdym dniem. Hitler otwarcie groził światu nową, tajemniczą i straszliwą bronią, obiecując przy jej pomocy zetrzeć na proch wrogów. Dla ludzi, którzy z racji swoich obowiązków obserwowali pilnie niemieckie poczynania atomowe, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, co się kryło za tymi słowami. Postanowiono więc niezwłocznie wymierzyć druzgocący cios niemieckiej produkcji atomowej, godząc w najbardziej niewralgiczne, najbardziej czułe miejsce. Były to właśnie zakłady „Norsk-Hydro”. Ich zniszczenie uznano za operację o specjalnym znaczeniu.

Kilkunastu mężczyzn, zebranych pewnego jesiennego deszczowego wieczoru w gabinecie szefa brytyjskiej służby wywiadowczej, lorda Hanleya, doskonale zdawało sobie sprawę z ciężącej na nich odpowiedzialności za pomysłne przeprowadzenie operacji, uwalniającej sprzymierzonych od zmory niemieckiej bomby atomowej.

Ludzie ci, ubrani w mundury khaki i szare cywilne ubrania, reprezentowali najtęższe mózgi w wielu dziedzinach wiedzy wojskowej i wywiadu, jakimi w tym czasie dysponowała Wielka Brytania. Na ścianie wisiała olbrzy-

mia mapa Europy. Pełgały na niej czerwone, drobne punkty świetlne.

Lord Hanley podniósł się zza biurka, podszedł do mapy i wskazał na nią pałeczką.

— Tu, jak panowie widzicie — rzekł wskazując na świetlne punkty — koncentruje się niemiecka produkcja atomowa. Na terytorium Czechosłowacji istnieją kopalnie smółki uranowej, z której uzyskuje się uran naturalny 238. Pod Berlinem i w Wirtembergii prowadzone są, jak wskazują na to meldunki naszego wywiadu, intensywne prace nad budową reaktorów atomowych. Badania atomowe prowadzone są także w Instytucie im. Cesarza Wilhelma. Podejrzewamy, że Niemcy starają się zbudować reaktory atomowe także w innych, bliżej nie rozpoznanych miejscowościach. Wszystkie one ze względu na swoje położenie i systemy ochrony praktycznie są dla nas niedostępne. Pozostaje więc tylko jedno — zaatakować i zniszczyć zakłady „Norsk-Hydro”.

— Nasze Bomber Command* będzie tu miało twardy orzech do zgryzienia — wtrącił jeden z oficerów. — Ciekaw jestem, jak sobie z tym poradzą...

Lord Hanley odwrócił się od mapy i spojrzał uważnie na siedzących przed sobą mężczyzn.

— Panowie — rzekł wolno — dowództwo Bomber Command po przestudiowaniu zadania oświadczyło nam, że nie ręczy za skutek ataku na skryty wśród skalistych gór obiekt, mający z tej wysokości wielkość główki od szpilki. Datęgo właśnie wezwałem was do siebie. Operację tę może przeprowadzić jedynie wywiad...

Jeden z oficerów sztabu wydziału Operacji Kombinowanych, który brał udział w opracowaniu planu zniszczenia zakładów przez bombardowanie z powietrza, zauważył, że

* Lotnictwo bombowe (przyp. aut.).

ostatnio przybyła do Wielkiej Brytanii grupa uczestników norweskiego ruchu oporu. Ludzie ci opanowali siłą parowiec s/s „Galtensund”, przedostali się szczęśliwie przez pola minowe i zasadzki okrętów podwodnych na Morzu Północnym i dotarli do portu Aberdeen w Szkocji.

W grupie tej znajdował się dawny pracownik zakładów „Norsk-Hydro”, aktywny działacz norweskiego ruchu oporu. Człowiek ten posługiwał się pseudonimem „Gravesson” i poza oficerami wywiadu i kontrwywiadu brytyjskiego nikt w Anglii nie znał jego prawdziwego imienia i nazwiska. Jego walory osobiste jak najbardziej predestynowały go do takiej akcji. „Gravesson” był inżynierem, mistrzem w jeździe na nartach i dysponował wspaniałą kondycją. Jego opanowanie i zimna krew wzbudzały podziw nawet u starych wyjadaczy brytyjskiego wywiadu. Sprzyjającą okolicznością dla przeprowadzenia akcji było także to, że „Gravesson” przez całe życie mieszkał w pobliżu zakładów i doskonale znał wszystkie zakamarki w ich sąsiedztwie. Poza tym jego rodzony brat i przyjaciele zajmowali odpowiedzialne stanowiska w „Norsk-Hydro”.

Kiedy oficer wywiadu wysunął kandydaturę „Gravessona” na dowódcę grupy dywersyjnej, nie spotkała się ona z niczym sprzeciwem. Został on natychmiast przewieziony samolotem ze Szkocji do sztabu wydziału Operacji Kombinowanych w Londynie, gdzie zaproponowano mu wzięcie udziału w akcji sabotażowej przeciwko zakładom. „Gravesson” zgodził się na to bez wahania.

Tutaj, w sztabie Operacji Kombinowanych, poznał on doktora Tronstedta, byłego kierownika naukowego zakładów „Norsk-Hydro”, któremu szczęśliwie udało się zbiec do Anglii. Będąc osobistym przyjacielem wielu fizyków niemieckich z czasów poprzedzających wybuch drugiej

wojny światowej, doktor Tronstedt zdawał sobie sprawę z perspektyw rozwoju niemieckich badań nad rozbięciem atomu.

Udzielił on „Gravessonowi” wszystkich potrzebnych informacji o specjalnym oddziale zakładów, gdzie pod nadzorem Niemców produkowano deuter.

Wraz z Tronstedtem „Gravesson” ustalił dokładne położenie fabryki, jej plany i umiejscowienie punktów wartowniczych. Zakłady były wielkim siedmiopiętrowym budynkiem o żelbetonowej konstrukcji. Podobnie jak pobliska elektrownia znajdowały się na krawędzi głębokiego i skalistego wąwozu o urwistych brzegach.

Zakłady były pilnie strzeżone przez posterunki niemieckie. Wydawało się rzeczą niemożliwą przejść z ciężkim ładunkiem przez paszarpane turnie gór otaczających fabrykę tak, żeby nie zauważyli strażnicy. Innego wyjścia jednak nie było.

Pierwsze uderzenie

Po kilkudniowej bytności w sztabie Operacji Kombiniowanych „Gravesson” został skierowany na przeszkolenie do specjalnego ośrodka Secret Service, gdzie zaznajomiono go szczegółowo z techniką dokonywania dywersji i sabotażu. „Gravesson” szybko nauczył się także obsługiwać miniaturową stację nadawczo-odbiorczą oraz opanował najtrudniejsze szyfry.

Nadszedł wreszcie dzień odlotu. „Gravesson” otrzymał rozkaz udania się do Norwegii, gromadzenia materiałów wywiadowczych o produkcji zakładów „Norsk-Hydro”, przekazywania ich do Londynu i przygotowania bazy dla

głównej grupy operacyjnej komandosów, która miała przybyć w najbliższym czasie.

W księżycową noc, gdy otaczające góry kładły głębokie cienie na śnieżne płaszczyzny dolin i fiordów, „Gravesson” wyskoczył ze spadochronem z bombowca RAF — „Halifax” w rejonie zakładów. Po pomyślnym wylądowaniu i ukryciu sprzętu, zabierając ze sobą jedynie narty i radiostację, „Gravesson” udał się do domu. Wyjaśnienie rodzinie kilkutygodniowej nieobecności nie sprawiło mu zbyt wielkiego kłopotu; niejednokrotnie przecież wypuszczał się na wielodniowe wycieczki narciarskie. Lecz z Niemcami nie była taka łatwa sprawa.

— Przez kilka dni — opowiadał później — obawiałem się, że Niemcy zainteresują się moim niespodziewanym powrotem. Lecz nic takiego nie nastąpiło. Widocznie nie domyślali się, że brałem udział w sprawie „Galtensundu”.

Za pośrednictwem swojego brata „Gravesson” uzyskał wkrótce pracę przy budowie tamy dla nowej hydroelektrowni, niezbędnej do zwiększenia produkcji ciężkiej wody. Jednocześnie zaczął montować z drobiazgową skrupulatnością siatkę wywiadowczą, werbując do niej agentów spośród pracowników zakładów. Dzięki temu wkrótce zaczął otrzymywać potrzebne informacje o wszystkim, co działo się w fabryce. Wiadomości te przekazywał natychmiast do centrali brytyjskiego wywiadu.

Produkcja deuteru gwałtownie wzrastała. „Gravesson” donosił, że transporty ciężkiej wody odchodziły do Niemiec co miesiąc drogą morską.

Wydział Operacji Kombinowanych uznał, że najwyższy czas rozpocząć działanie. Sztab otrzymał polecenie opracowania planu natychmiastowego ataku na zakłady „Norsk-Hydro”. Było to jedno z najtrudniejszych zadań. Skaliste, oblodzone góry, zawiane śniegiem doliny i po-

tężne, wiejące z olbrzymią szybkością lodowate wichry czyniły z Norwegii poza Arktyką najbardziej niegościnny kraj na świecie.

Przeprowadzenie desantu spadochronowego w takich warunkach wymagało od ludzi biorących w nim udział siły woli, hartu ducha i nieprzeciętnej odwagi. Rozumieli oni jednak, że nie ma innego wyjścia i byli gotowi poświęcić życie dla osiągnięcia celu.

Operacja miała być przeprowadzona w dwóch etapach. Etap pierwszy, który otrzymał kryptonim „Swallow” („Jaskółka”), polegał na przygotowaniu lądowiska i bazy dla większej grupy komandosów, która pod kierownictwem „Gravessona” miała przeprowadzić, już w ramach drugiego etapu — operacji „Gunnreside” („Kłusownik”), zniszczenie zakładów „Norsk-Hydro”.

Do realizacji operacji „Jaskółka” sztab Operacji Kombinowanych wytypował czterech ludzi — zbiegów z Norwegii, którzy doskonale, podobnie jak „Gravesson”, znali otoczenie zakładów. Mieli oni pomóc „Gravessonowi” w przygotowaniu bazy operacyjnej dla grupy komandosów, przeznaczonych do przeprowadzenia dywersji.

„Gravesson” został zawiadomiony przez radio, że ludzie ci zostaną wysłani w ciągu kilku najbliższych dni. Niepogoda i gęsta mgła nad Morzem Północnym pokrzyżowała jednak plany. Dopiero po kilkunastodniowym oczekiwaniu akcja wstępna została uwieńczona powodzeniem. Błąd w obliczeniach nawigacyjnych sprawił, że Norwęgów zrzucono w zupełnie innym miejscu, niż to było przewidziane, w odległości 100 kilometrów od bazy przygotowanej przez „Gravessona”. Piętnaście dni musieli zużyć, aby przebyć tę drogę i połączyć się z „Gravessonem”.

9 listopada, zaniepokojeni dłuższym milczeniem „Gravessona”, oficerowie wywiadu otrzymali meldunek szyfro-

wy, że wszystko jest w porządku, że zespół operacji „Jaskółka” jest zdolny do wykonania wytyczonych zadań.

18 listopada wszystko było gotowe na przyjęcie dużej grupy komandosów. W dzień później dwa bombowce RAF „Halifax” wystartowały z pewnego lotniska w północno-wschodniej Anglii, holując za sobą dwa szybowce desantowe z komandosami i sprzętem.

Nigdy jednak nie doleciały do miejsca przeznaczenia. W kilka dni później pewien agent brytyjskiego wywiadu zawiadomił centralę Secret Service, że oba samoloty i szybowce roztrzaskały się o skały na wybrzeżu Norwegii. Część załogi zginęła, reszta dostała się do niewoli. Wywiad brytyjski nie obawiał się jednak zdradzenia celu wyprawy, ponieważ nie znał go nikt poza pilotami i dowódcą.

Wkrótce jednak nadeszły niepokojące wiadomości. Oficer niemieckiego kontrwywiadu, z oddziału III Abwehry, przeszukując szczątki samolotu znalazł przy jednym z zabitych — a był to przypuszczalnie dowódca komandosów — mapę Norwegii z zaznaczoną czerwoną linią, prowadzącą od wybrzeży do Vermorku w pobliżu „Norsk-Hydro”.

Opracowując raport o tym wydarzeniu oficer Abwehry zaznaczył, że celem wyprawy były prawdopodobnie zakłady produkujące deuter. Wywołało to zaniepokojenie wśród władz niemieckich. Do Vermorku przybył natychmiast wysoki komisarz III Rzeszy w Norwegii, doktor Josef Teriboven, oraz dowódca niemieckich sił zbrojnych w tym kraju, generał von Falkenhorst. Oddziały SS i Wehrmachtu przetrząsnęły natychmiast całą okolicę, aresztując wszystkich podejrzanych o współpracę z ruchem oporu.

Pomimo to nie udało się Niemcom natrafić na ślad ludzi z „Jaskółki”.

Ślepy przypadek pokrzyżował plany sztabu wydziału

Operacji Kombinowanych i wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Po rozważeniu sytuacji oficerowie z tego wydziału doszli do wniosku, że desant szybowcowy nie rokuje zbyt wielkich szans powodzenia.

„Gravesson” został poinformowany, że operację „Kłusownik” ma wykonać tylko jedenastu ludzi. Pomoc złożona z sześciu komandosów miała przybyć w najbliższych dniach.

Pod kierownictwem doktora Tronsteda przechodzili oni intensywne szkolenie na mapach i modelach. A tymczasem każdy dzień zmniejszał szanse powodzenia operacji. Ludzie z „Jaskółki” trzymali się resztkami sił w swoich kryjówkach skalnych. Racje żywnościowe coraz bardziej szczipały, baterie do nadajników były na wyczerpaniu. Poza „Gravessonem” wszyscy komandosi mieli silną gorączkę i cierpieli na bóle żołądka. Kiedy racje skończyły się, musieli jeść mech reniferowy, aby podtrzymać słabnące siły i oszukać natrętny głód skręcający kiszkę. Wodę wytapiali ze śniegu. Wokół grasowały niemieckie patrole. Kontakt ze światem utrzymywał „Gravesson”, który co kilka dni opuszczał swój mały domek, zakopany wśród zasp, udając się na nartach do Vermorku, gdzie spotykał się ze swoimi agentami.

Wkrótce udało mu się uzyskać wprost nieprawdopodobną wiadomość, że Niemcy z bliżej nie znanych przyczyn, przypuszczając zapewne, że komandosi nie ponowią ataków na zakłady, zdjęli większość posterunków ochraniających fabrykę, przeznaczając je do strzeżenia zapory wodnej.

Równocześnie zniknęły z okolicy patrole SS i wojska, które wraz z psami policyjnymi nieustannie przeczesywały sąsiedztwo zakładów.

Była to okoliczność niezwykle sprzyjająca przeprowadzeniu operacji „Kłusownik”. „Gravesson” zawiadomił o tym natychmiast wydział Operacji Kombinowanych.

Sukces

W kilka dni później sześciu komandosów grupy „Kłusownik” wylądowało szczęśliwie na spadochronach na zasypanej śniegiem pokrywie lodowej jeziora Stryken w odległości kilkudziesięciu kilometrów na północ od bazy „Jaskółki”. Jednakże burza śnieżna uniemożliwiła szybkie połączenie obu grup. Przez pięć dni długich jak wieczność szóstka komandosów głodowała i marzła w opuszczonej chacie myśliwskiej, zagrzebanej wśród śniegów.

Burza uspokoiła się wreszcie i wyczerpani ludzie mogli wyruszyć do celu. Zbliżając się do wyznaczonego miejsca spotkania, komandosi zauważyli idącą im naprzeciw dwójkę narciarzy. Był to niezwykle dramatyczny moment. Nieoczekiwane spotkanie z niemieckim patrolem mogło całkowicie uniemożliwić przeprowadzenie akcji. Jeden ze spadochroniarzy w przebraniu poganiacza renów udał się na spotkanie patrolu, podczas gdy pozostali leżeli w śniegu trzymając palce na spustach peemów.

Śnieżną ciszę zagłuszyły radosne wrzaski trzech ludzi. „Jaskółka” spotkała się z „Kłusownikiem”.

Teraz wypadki potoczyły się szybko. W kryjówce przygotowanej poprzednio przez „Gravessona” został opracowany ostateczny plan działania. Wywiad „Gravessona” dostarczył niezbędnych informacji o rozmieszczeniu wart, najłatwiejszych dojściach do budynku itp. Aby dotrzeć do celu i osiągnąć nasyp kolejowy wiodący do fabryki, komandosi musieli pokonać w głębokim śniegu zbocze góry

porosłe lasem, zejść do wąwozu, przebyć rwący strumyk oraz wspiąć się na stromą, dwustometrową skalistą ścianę wąwozu.

27 lutego 1943 roku dokładnie o godzinie ósmej rano jedenastu ludzi wyruszyło w dalszą drogę. „Gravesson” i „Bonzo” pozostali w bazie, aby w razie jakiegos wypadku zawiadomić centralę wywiadu w Londynie.

Komandosi w wędrówce do celu napotkali szereg trudności. Wąwóz był całkowicie zalany wodą na skutek odwilży; po gorączkowych poszukiwaniach udało im się znaleźć lodowy mostek, po którym przeszli na drugą stronę. Sforsowanie ściany skalnej też nie było łatwe. Uporawszy się z tym, szczęśliwie przebyli ostatni odcinek drogi, biegnący wzdłuż nasypu kolejowego do samej bramy fabryki.

Słysząc już było stamtąd ogłuszający łoskot maszyn. Ronnie — dowódca grupy uderzeniowej — zwołał ostatnią odprawę, aby przekonać się, czy każdy z komandosów pamięta o swoim zadaniu.

— Czas zaczynać — powiedział na zakończenie.

Komandos, wyposażony w specjalne nożyce do cięcia stali, kilkoma zręcznymi ruchami przeciął łańcuch zabezpieczający bramę. Szybko, gęsiego wpadli na otwartą przestrzeń, przebiegli ją jednym tchem i przypadli pod murami. Grupa pięciu komandosów z „Thompsonami” gotowymi do strzału zajęła pozycję wokół baraku, w którym znajdowały się pomieszczenia dwunastoosobowej straży SS.

Doktor Tronstedt dobrze wykonał zadanie. Dzięki jego informacjom czteroosobowa grupa komandosów z Ronniem na czele szybko odnalazła tunel, którym biegły do wnętrza fabryki kable wysokiego napięcia. Ciągnąc skrzynki z materiałem wybuchowym pełzli w zupełnych ciemnościach wśród gmatwaniny przewodów.

Strażnik, znajdujący się w specjalnym oddziale zakładów, gdzie produkowano deuter, oniemiał ze strachu i zdumienia, gdy ujrzał wymierzoną w siebie lufę „Thompsona”, i dał się rozbroić bez oporu. Podobnie postąpili inni. Zresztą wobec zdecydowania komandosów i determinacji, z jaką wykonywali swoje zadanie, wszelki opór był bezcelowy. Ronnie dokonał przeglądu urządzeń produkujących ciężką wodę i umocował ładunki.

W czasie tej pracy zaszedł wypadek, który mógł przynieść nieobliczalne konsekwencje. Jeden z komandosów, który zgubił się w czasie wędrówki tunelem, szukając wyjścia wybił kolbą szybę w oknie, prowadzącym do oddziału produkcji deuteru. Na dźwięk szkła Ronnie porzucił pracę, przypadł do ziemi i złożył się do strzału. Przedwczesna strzelanina mogłaby zaalarmować całą okolicę i ściągnąć na kark komandosów oddziału SS.

Drżącymi rękami Ronnie kończył zakładanie ładunków. Potem zapalił lonty i krzyknął na towarzyszy, by uciekali z zagrożonych pomieszczeń. Głucha eksplozja targnęła murami zakładów.

W kilka sekund potem ryk syren alarmowych wstrząsnął okolicą. Zanim jednak Niemcy dopinając w pośpiechu pasy z ładownicami wybiegli z baraku na dziedziniec, Ronnie i jego koledzy zniknęli jak duchy tą samą drogą, którą przybyli. Tymczasem trzysta kilogramów bezcennego deuteru wyciekało na ziemię z rozerwanych eksplozją zbiorników.

Na wieść o sabotażu generał von Falkenhorst przerzucił do rejonu zakładów całą dywizję Wehrmachtu z zadaniem schwytania komandosów. Patrole z psami policyjnymi przeszukiwały góry, doliny i załomy skał w poszukiwaniu ludzi z grupy „Kłusownik” i „Jaskółka”. Samoloty wywiadowcze patrolowały olbrzymie obszary. Wszystkie

drogi zostały szczelnie zamknięte przez kordony SS i policji. Agenci Gestapo i faszysti Quislinga weszli w teren, przeszukując dom po domu.

Lecz wszystkie te zabiegi nie zdały się na nic. Pięciu członków grupy „Kłusownik” przekroczyło granicę szwedzką i po niewiarygodnych trudach przedostało się do Anglii. Szósty — „Bonzo” wraz z grupą „Jaskółki” pozostał w kraju dla prowadzenia nadal działalności dywersyjnej i wywiadowczej. „Gravesson” zapadł wśród śniegów w pobliżu zakładów, aby donosić centrali Secret Service o wszystkim, co się tam działo.

Agenci jego siatki wywiadowczej pracujący w zakładach poinformowali go wkrótce, że po usunięciu zniszczeń Niemcy mają zamiar wznowić produkcję deuteru. Po meldunku „Gravessona”, skierowanym do sztabu Operacji Kombinowanych, superfortece amerykańskie, używając specjalnych celowników pozwalających na skuteczne bombardowanie z dużych wysokości, wykonały atak na fabrykę.

Po smutnych doświadczeniach z „Norsk-Hydro” Niemcy zdecydowali się jesienią 1943 roku przewieźć cały zapas ciężkiej wody do Niemiec drogą morską. Jednakże i tym razem „Gravesson” i jego towarzysze czuwali i prom przewożący cenny ładunek został wysadzony w powietrze. Sparaliżowało to całkowicie niemiecką produkcję atomową, a świat został uwolniony od straszliwego niebezpieczeństwa. Tak się przynajmniej zdawało ludziom, którzy wykonywali te trudne i niebezpieczne zadania. Spotkało ich jednak gorzkie rozczarowanie. W dwa lata później nad Hirosimą wzniósł się potworny grzyb atomowej eksplozji.

A Z K N I E O D P O W I A D A

W Berlinie

Był już sierpień. „Jeszcze tylko dwa tygodnie... czternaście dni... A potem?...” — mówił do siebie Artur Meier skręcając z głównej ulicy Frankfurtu w jedną z jej licznych bocznic. Dziś rano pryncypał oświadczył mu z żalem, że, niestety, wkrótce muszą się rozstać.

— Doskonale rozumiem pana położenie — tłumaczył się staruszek — ale sam pan widzi... Księgarenka nie daje tyle dochodu, żebym mógł sobie pozwolić na luksus zatrudniania ekspedienta. Musimy się rozstać.

Sytuacja Artura Meiera rzeczywiście była nie do pozazdroszczenia, chociaż w porównaniu z wielu jego kolegami, którzy gnili w obozach koncentracyjnych, wydawała się wprost wspaniała.

Przed 1933 rokiem Meier pracował w jednym z pism, na łamach którego zdecydowanie występował przeciwko „brunatnym koszulom”. Z tej okazji toczył nawet pojedynki publicystyczne z pewnym berlińskim dziennikarzem podpisującym się: „Józef Goebbels”. W 1933 roku Goebbels został ministrem, a Meier znalazł się na bruku. W jego własnym mniemaniu nie powędrował za kratki czy druty jedynie przez pomyłkę lub przeoczenie frankfurckiego Gestapo. Utrzymywał się ze skromnej pensyjki wypłacanej mu przez starego księgarza.

Ale oto i pensjonat pani Hirsch wynajmującej pokoje „z utrzymaniem i bez, najchętniej starszym samotnym panom”. Meierowi nie udało się przemknąć niepostrzeżenie długim, ciemnym korytarzem do swego pokoju. W połowie tej pełnej emocji wędrówki usłyszał głos pani Hirsch:

— Niech pan zaczeka...

Robert zgiął się wpół, od trzech miesięcy zalegał z czynszem. Ultimatum upłynęło wczoraj... Frau Hirsch wciągnęła nieszczęsnego dłużnika do swych apartamentów:

— Herr Meier... U pana w pokoju czeka trzech mężczyzn. Wyglądają mi na... Gestapo.

— Co mam robić, Frau Hirsch? Uciekać?

— Czy pan zwariował? Dom na pewno jest obstawiony. A zresztą, czy chce pan narazić cały pensjonat?! U mnie nigdy policja...

Meier z sercem bijącym gdzieś pod gardłem trzasnął drzwiami i skierował się do swego pokoju. Przy stole siedziało trzech mężczyzn w skórzanych płaszczach. Jeden z nich wstał i powiedział:

— Pójdzie pan z nami.

Meier otarł chusteczką czoło i zapytał:

— A o co panom chodzi?

— Dowie się pan później. Niech pan weźmie z sobą płaszcz. Przyda się.

Tuż za rogiem oczekiwał duży czarny „Mercedes”, który natychmiast po ulokowaniu się w jego wnętrzu „skórzanych panów” wraz z Meierem ruszył z miejsca z wielką szybkością. Milczenie przerwał pasażer obok kierowcy:

— Artur Meier, nicht war? Pan pamięta swoją działalność przed 1933 rokiem. Swego czasu był pan również przez pięć lat korespondentem w Rzymie. Zna pan tam sporo ludzi. Gut. A więc niech pan słucha uważnie: Pojedziemy teraz do Monachium. Tam pan wsiądzie do ekspre-

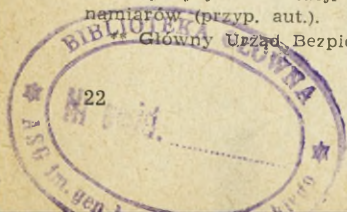
su Berlin—Rzym. Oto paszport, pieniądze i bilet. Na dworcu Termini odbierze pana człowiek z czerwoną teczką, który podejdzie do pana i powie: „Pax vobiscum”. Będzie pan wykonywał pracę odpowiednią dla pana. Niech pan jednak pamięta. Nie ma żartów. Włoska policja z nami współpracuje. Nie radzę panu wracać do Niemiec jako przestępcy antyhitlerowski. Pierwsze pana zadanie to skontaktować się z jezuitą ojcem L.

W nocy z 28 na 29 sierpnia 1939 roku na autostradzie w pobliżu berlińskiego lotniska Tempelhof zatrzymały się dwa wojskowe ambulanse czerwonego krzyża. Nie przybyły one tu jednak, aby nieść pomoc ewentualnym ofiarom rozbitego samolotu. Wozy sanitarne wyposażone były w skomplikowane urządzenia zwane radiopelengatorami*. Od kilku bowiem dni całe ekipy doświadczonych fachowców RSHA** postawione były na nogi osobistym rozkazem Himmlera: „Za wszelką cenę wykryć tajną radiostację, działającą na terenie wielkiego Berlina”.

Dotychczas udało się ustalić, że radiostacja używa stałego znaku wywoławczego AZK, nadaje niezwykle skomplikowanym nie rozszyfrowanym kodem krótkie depesze o różnych porach dnia i nocy. Żmudne poszukiwania stacji podsłuchowych przyniosły także ciekawy i nieoczekiwany rezultat: AZK utrzymuje kontakt z radiostacją operującą gdzieś w środkowych Włoszech. Duża ruchliwość radiostacji wskazywała na to, że ludzie ją obsługujący muszą mieć sporo kontaktów na terenie Berlina. Poprzedniej

* Pelengator radiowy — urządzenie pozwalające na dokładne ustalenie pozycji radiostacji nadawczej przez dokonanie odpowiednich namiarów (przyp. aut.).

Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (przyp. aut.).



nocy udało się zlokalizować radiostację w okolicach osiedla Rangsdorf. Ustalono z dokładnością do pięciuset metrów miejsce nadajnika. Oddziały Schutzpolizei i Gestapo otoczyły zlokalizowany kwartał i rozpoczęły skrupulatne przeszukiwanie budynków od piwnic po strychy. Nad ranem w nieczynnym od kilku miesięcy lokalu sklepowym znaleziono świeże ślady po niedawnej obecności kilku ludzi. Poszukiwania kontynuowano dalej. W nocy z 28 na 29 sierpnia oczekiwano następnej audycji. Berlin podzielono na sektory, z wielu miast ściągnięto dodatkowe wozy podsłuchowe, zmobilizowano kilka oddziałów wojsk łączności. Tym razem AZK miała zostać unieszkodliwiona raz na zawsze. Mijały męczące nocne godziny. AZK milczała. Nad ranem RSHA zdecydował się na złuzowanie połowy ruchomych stacji podsłuchowych. Jeden z ambulansów dyżurujący w pobliżu Tempelhof otrzymał zezwolenie na powrót do bazy przez Scharmützel, gdzie miał wysiąść Sturmführer Bolz. W połowie drogi do tej spokojnej, ulubionej miejscowości lotniskowej berlińczyków, położonej nad jeziorem o tej samej nazwie, jeden z esesmanów uruchomił radiopelengator. Można sobie wyobrazić zdumienie załogi wozu, gdy po kilku minutach manipulacji esesman ryknął:

— Jest! Jest!

Zmęczenie i senność prysły w mgnieniu oka. Namiary wskazywały wyraźnie, że AZK działa w... Scharmützel See. Wozy pognały jak szalone. W eterze tymczasem nie milkły sygnały AZK i tajemnicze znaki kodu. Jeszcze kwadrans i ambulans zatrzymał się przy wypożyczalni łodzi nad jeziorem.

Rozgorączkowanych gestapowców najspokojniej w świecie powitał staruszek, od lat wynajmujący kajaki i motorówki.

— Co panowie sobie życzą? Niestety, jedyna czynna motorówka już wynajęta.

Część gestapowców bez słowa rozeszła się po przystani, pozostali wzięli w obroty przystaniowego.

— Kto wypożyczał dzisiaj łódki i tę motorówkę? Szybciej!

— Dzisiaj kajak nr 11... o! ci tam! Dwaj chłopcy. A motorówkę „Hildę 1” dwaj mężczyźni i kobieta.

— Czy mieli z sobą jakieś pakunki?

— Pakunki? A tak. Tak. Dużą czarną walizkę.

— Macie jeszcze jakąś wolną motorówkę?

— No mam. „Hildę II”. Ale nie mam benzyny. Panowie rozumieją, ograniczenie.

Nie upłynęło pięć minut, gdy z zapasowych baniek przyniesionych z ambulansu przelano benzynę do zbiornika „Hildy II”. Wkrótce motorówka pełnym gazem skierowała się ku swej siostrzycy, kołyszącej się spokojnie na środku jeziora. Sturmführer Bolz wydał rozkaz:

— Przygotować broń! Oni mogą być uzbrojeni!

Na pokładzie „Hildy I” momentalnie zauważono zbliżającą się motorówkę. Mężczyzna stojący przy sterze uruchomił silnik i zręcznie manewrując ustawił „Hildę I” dziobem w kierunku nadpływającej motorówki. Następnie rzucił w głąb kabiny tylko jedno słowo: „Todt”. W chwilę potem z kabiny wyszła kobieta trzymając w ręku spory przedmiot przypominający na pierwszy rzut oka magnetofon.

— Rzucaj! — powiedział sternik — z samej rufy. Nie zauważą. Johan, napełnij walizę żarciem! Szybko!...

Plusk wody pokwitował przyjęcie przez jezioro tajemniczego podarunku pasażerów „Hildy I”. Czarna waliza zapełniła się wyjmowanymi z kieszeni jabłkami, papierosami i kanapkami.

— Zgasić motor! — zawołano z „Hildy II”. — Wszyscy na pokład! Polizei!

„Hilda II” przybiła do burty swej bliźniaczki i gestapowcy z pistoletami gotowymi do strzału wtargnęli na jej pokład. Na pytanie, co znajduje się w walizce, kobieta odpowiedziała:

— A co ma tam być? Normalnie jak na wycieczce. Jedzenie. O, proszę, zobaczcie!

Sturmführerowi Bolzowi nie pozostało nic innego jak przeprosić troje berlińczyków za zakłócenie niedzielnego wypoczynku. Postanowił jednak zabrać ich na Alexanderplatz, aby dokładnie zbadać ich tożsamość. Już parę godzin później okazało się, że dokumenty wycieczkowiczów są w idealnym porządku, a Gestapostelle w dzielnicy, którą zamieszkują, nie ma do nich żadnych zastrzeżeń. RSHA w dalszym ciągu postawiony był w stan alarmu.

W Rzymie

Mała rzymska winiarnia miała swoich stałych i wiernych bywalców. Niemalą atrakcją tego niepozornego lokalu był jego właściciel Mino Monicelli. Popisowe numery Mino na gitarze warte były zdaniem jego klienteli o wiele więcej niż sprzedawane przez niego wino. Na początku września Monicelli coraz mniej czasu poświęcał gościom, wywołując swym postępowaniem wyraźne niezadowolenie. Puszczając jednak uwagi mimo uszu i znikając na całe dnie, a często opuszczając wieczorowe debaty o wielkiej polityce, które odbywały się w winiarni w jak najbardziej zaufanym gronie. A było o czym pogadać: Hitler napadł na Polskę, a i „duce” podobno szykował się wystąpić po stronie hitlerowców. Bywalcy winiarni nie przypuszczali jednak ani na sekundę, że Monicelli w czasie swych ta-

jemniczych wędrowek znajduje się tuż obok nich. Nikt się nawet nie domyślał, że przy bufecie są małe, zasłonięte kotarą drzwiczki, prowadzące do bezokiennego, ciasnego pomieszczenia, w którym urzędował Monicelli wraz ze znanym już nam Arturem Meierem.

Właśnie widzimy obu panów zajętych bez reszty żmudną i interesującą pracą. Monicelli obsługuje radiostację i odbiera depesze. Meier natomiast posługując się egzemplarzem „Mein Kampf”, służącym jako klucz do kodu, odszyfrowuje depesze. W pewnym momencie Monicelli niecierpliwie poprawił słuchawki i powiedział:

— Nie słyszę ich. Coś musiało się stać!

— Poczekaj chwilę, Mino. Może zmienili miejsce. Za kilka minut odezwą się.

— Nie, nie. Przerwali zbyt nagle. Coś musiało się stać!

— Myślisz, że mogli ich...

— Może. Ale nie traćmy czasu! Zapoznajmy się z depeszami.

Pierwsza oznaczona kryptonimem „Od A do C. 9. 39. Nr 88 AZK brzmiała:

OSTRZEGAMY WAS. WŁADZE BEZPIECZENSTWA NA TROPIE. ZACHOWAJCIE CZUJNOŚĆ.

Kolejna depesza nr 89 po rozszyfrowaniu brzmiała:

JUTRO LUB POJUTRZE ZJAWI SIĘ KTOŚ Z BERLINA ZE ŚCIŚLE WYTYCZONYM ZADANIEM. ZAMIESZKA W TYM SAMYM HOTELU CO MEIER. CZY MEIER NAWIĄZAŁ JUŻ KONTAKT Z WYSOKĄ RADĄ. MEIER MA UŁATWIC PRZYBYSZOWI ROZMOWĘ Z L. HASŁO ROZPOZNAWCZE...

I tu AZK przestała nadawać. Radiostacja znalazła się bowiem na dnie jeziora Scharmützel. I jak tu rozpoznać wśród setek ludzi przewijających się przez hotel łącznika z Berlina? Wszelkie wysiłki ponownego nawiązania kontaktu z AZK spełzły na niczym: radiostacja milczała.

A Meier oczekiwał gościa z Berlina jak zbawienia. Pragnął przede wszystkim wyjaśnić dziwną sytuację, w jakiej się znalazł. Monicelli wprawdzie dbał o niego jak o rodzzonego brata: wynajął mu elegancki apartament w hotelu, dostarczał regularnie co tydzień znaczne sumy pieniędzy, zaopatrzył w doskonałe dokumenty gwarantujące bezpieczeństwo osobiste, ale poza zapewnieniem, że obaj pracują przeciwko hitleryzmowi, nie chciał udzielić mu żadnych bliższych wyjaśnień. Meier zadawał sobie pytanie: jak jest w końcu naprawdę? Czy ta cała historia nie jest jakąś prowokacją Gestapo? Kto wywiózł go z Frankfurtu? Komu zależy na kontakcie z Wysoką Radą? Meier sądził, że przybysz z Berlina odpowie wyczerpująco na te pytania.

Nad drzwiami obitymi ciemną skórą zapłonęło czerwone światło. Przed chwilą do gabinetu reichsführera SS wszedł jego najbliższy współpracownik, szef RSHA generał Reinhardt Heydrich. Adiutant otrzymał polecenie: łączyć tylko w wypadku telefonu z Kancelarią Rzeszy. Dwaj panowie w czarnych mundurach pragnęli spokojnie zastanowić się nad pewną niezwykle poważną sprawą.

— Herr Reichsführer — rozpoczął Heydrich — udało mi się ustalić, że „Czarna Ręka” jest organizacją pozostającą w kontakcie z pewną grupą ludzi znajdujących się obecnie na terenie Włoch. Wśród nich działa niejaki Artur Meier i Mino Monicelli. Od pewnego czasu usiłują oni nawiązać kontakt z kołami Wysokiej Rady.

— Herr Heydrich, wydaje mi się, że pan coś przede mną ukrywa.

— Tak. Mam pewne dowody, które są wprost przerażające.

— Słucham pana...

— Herr Reichsführer. W aferę „Czarnej Ręki” zamieszani są generałowie... Oster, Beck i ludzie z Abwehry.

— Co? Czy pan zwariował, Heydrich?!

— Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, kto ułatwił wyjazd do Włoch temu Meierowi. Agenci Abwehry! Trzeba natychmiast zawiadomić o tym führera i zwrócić się do policji włoskiej, by aresztowała...

— Ein Moment, lieber Heydrich. Nie tak gwałtownie. Włochów musimy pozostawić w spokoju. Wie pan przecież, że Führer naciska Mussoliniego, aby ten przyspieszył wystąpienie Włoch po naszej stronie. Włosi nie mogą dowiedzieć się, że u nas na najwyższych szczeblach mają miejsce takie afery. Tę sprawę trzeba zlikwidować cicho i bez rozgłosu. Co do generałów zaś musimy mieć jasne i oczywiste dowody. Co pan proponuje?

— Herr Reichsführer, proszę o oddanie do mojej dyspozycji pułkownika Wilhafa i Fräulein...

— Gut. Tylko niech się pan nie bawi w jakieś organizowanie dowodów. Musimy bez pudła rozprawić się z tymi arystokratami w mundurach. Zawsze twierdziłem, że nie są oni wierni führerowi i knują jakieś własne plany.

Do jednego z nocnych lokali, jakich pełno na Kurfürsterdamm, wszedł pewnym krokiem młody wysoki blondyn w zwracającym ogólną uwagę świetnie skrojonym ciemnym garniturze.

— Ober! Oto dwadzieścia marek. Czekam na pewną damę. Wygodny stolik, szampan i te rzeczy. Tylko szybko i sprawnie!

Punktualnie o 22.00 do lokalu weszła kobieta. O jej urodzie niech świadczy fakt, że nawet mężczyźni w dam-

skim towarzystwie nie potrafili ukryć swego zainteresowania nieznajomą. Piękna pani skierowała swe kroki do stolika, przy którym stał pochylony w ukłonie blondyn.

— Jak zwykle punktualnie, Ewo.

— Herr Sturmbahnführer, nie czuję się dziś usposobiona do dłuższych rozmów. Ma pan coś nowego dla mnie?

— Tak. Jutro o 18.55 pojedzie pani do Rzymu. Zamieszka pani w hotelu „Milano”. Pozna tam pani niejakiego Arтура Meiera i skłoni go pani do pewnych niedyskrecji. W ślad za panią pojedzie pułkownik Wilhof...

— Czy to poważna sprawa?

— Bardzo. Ale da sobie pani radę. Pani uroda...

— Zgoda. Ale to będzie kosztowało...

— Oczywiście. Znamy pani warunki. A teraz napijemy się za powodzenie pani misji w Rzymie.

Włoska jesień 1939 roku była niezwykle upalna. Starsi rzymianie mawiali, że te wybryki natury są niewątpliwie zapowiedzią nadzwyczajnych zdarzeń. W hotelu „Milano” spokojny i nudny dyżur w portierni pełnił osiemnastoletni Federico. Hotel opustoszał prawie zupełnie. Goście korzystając ze słonecznych dni pojechali do Ostii rozkoszować się kąpielą w morzu. Około południa do hotelu weszło trzech mężczyzn w kombinezonach.

— Jesteśmy z poczty. Mamy sprawdzić łącznicę na trzecim piętrze.

— Proszę bardzo — odpowiedział Federico. — Biuro naprawy uprzedziło nas o tym.

Monterzy wsiedli do windy, a Federico ziewnął przeobraźliwie i z nudów rozpoczął kolejny przegląd tablicy z nazwiskami gości. W końcu „dotarł” i do trzeciego piętra.

„308 Villoni, 311 i 313 ci z Austrii — mrucał do siebie — 310 Meier, 312 signora Laxnes. Ładna babka. Szczęściarz z tego Meiera. Tak z miejsca mu się udało...” Federico przerwał raptownie swój monolog. Gdzieś tam pod czaszką zapaliło się czerwone światło: „Uwaga!... Uwaga!...” Chłopak zerwał się na równe nogi i ruszył powoli, ostrożnie schodami na górę. Wstrzymując przyspieszony oddech rozejrzał się uważnie po korytarzu trzeciego piętra. Plomby łącznicy były nie tknięte, a monterów ani śladu. Gdzie cni są? Federico przypomniał sobie instrukcję: „Przed wszystkim uważaj na...”

Cicho jak kot podszedł do pokoju nr 310. Nachylił się i zerknął przez dziurkę od klucza: Jeden z monterów stał na nocnej szafce i majstrował coś przy żyrandolu, drugi trzymając w ręku cienki drut otwierał drzwi na galeryjkę biegnącą wzdłuż trzeciego piętra. Federico dokonał błyskawicznego zwrotu w tył i zbiegł do portierni nie przypuszczając, że trzeci monter obserwuje go przez uchylone drzwi toalety znajdującej się akurat naprzeciwko pokoju Meiera. Gdy Federico wybiegł z hotelu, aby zgodnie z poleceniem zatelefonować z automatu ulicznego pod znany numer, w ślad za nim udał się — na znak dany mu z góry — czwarty mężczyzna w kombinezonie, spacerujący dotąd spokojnie przed hotelem. Federico wyjął drobną monetę i nakręcił numer.

— Mino! To ty? Tu Federico. Słuchaj!...

W szklanej ścianie budki telefonicznej jakaś niewidzialna siła wywierciła maleńki otwór. Federico trzymając słuchawkę w ręku osunął się powoli na ziemię. Nikt z przechodniów nie słyszał najmniejszego nawet huku. Nikt również nie zwrócił uwagi na oddalającego się z wolna robotnicarza. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził zgon Federico na skutek przestrzelenia lewej komory serca.

Artur wraz z Ewą wrócił do hotelu późnym wieczorem. Młoda Szwedka, która przyjechała niedawno z Niemiec, wywarła ogromne wrażenie na Arturze, który ani na chwilę nie wątpił w jej słowa, że „choć mieszkała w Niemczech dość długo i przywiązała się do tego kraju, to jednak teraz z chwilą wybuchu wojny nie mogła już dłużej znieść atmosfery strachu i terroru i postanowiła przejściowo osiedlić się w Rzymie, pracować jako modelka, a potem wyjechać do któregoś z neutralnych krajów”. Wchodząc do hallu Meier zauważył przy kanciarce nocnego portiera dwóch panów załatwiających skomplikowane formalności meldunkowe. Jeden z przybyszów spojrzał na Meiera i po chwili powiedział do swego towarzysza po niemiecku:

— Nareszcie zobaczymy prawdziwe, błękitne, włoskie niebo... błękitne niebo.

Drugi Niemiec podzielił zachwyt i wypowiedział również parę zdań, w których co chwila powtarzały się słowa „błękitne włoskie niebo”. Meier popatrzył na obu Niemców i zdecydował się zaryzykować. Wręczając Ewie klucz od jej pokoju powiedział:

— Moja droga, muszę jeszcze kupić papierosy i gazety. Zaraz do ciebie wstąpię. Dobrze?

Gdy Ewa weszła do windy, Meier zagadnął Niemców:

— Panowie z Niemiec? Ja też. Na którym piętrze?

— Na trzecim. Pokój 311 i 313...

— A jak się panu podoba błękitne włoskie niebo? — zapytał Meiera jeden z przybyszów.

— Właśnie... W sprawie tego nieba... Może panowie pozwolą do mnie.

W pokoju Meiera Niemcy przedstawili się: Kurz i Bar-ten. Meier postanowił z miejsca wyjaśnić skomplikowaną sytuację.

— Wydaje mi się, że panowie mają mi coś do powiedzenia.

— To zależy od pana — odpowiedział z wolna Kurz.

— Otrzymałem wiadomość, że ma do mnie przybyć znajomy lub znajomi. Rozmawiałem telefonicznie. Rozmowa została nagle przerwana...

— Jasne, Herr Meier! A jak się nazywa ten pański rozmówca z... tamtej strony?

— Dokładnie nie wiem, ale jego imię zaczyna się na „A”.

— „Od A do C”, prawda? Sytuacja jest wyjaśniona, Meier. AZK musiała przerwać nadawanie. Nie zdążyli podać hasła: „Włoskie niebo jest błękitne”. To świetnie, że w końcu nawiązaliśmy z sobą kontakt. Mieliśmy co prawda pański dokładny rysopis, ale wie pan, różnie bywa. Czy rozmawiał pan z Wysoką Radą?

— Tak. Z ojcem L.

— To dobrze. Niech pan go skłoni, żeby skontaktował się z ambasadorem angielskim przy Watykanie, lordem Osbornem. L. musi oświadczyć Osbornowi, oczywiście z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, że pewna grupa ludzi z Niemiec gotowa jest dokonać przewrotu antyhitlerowskiego, o ile Anglicy zgodzą się zawrzeć z Rzeszą pokój. W najbliższym czasie postaramy się udowodnić, że grupa ta posiada ogromne wpływy i możliwości.

Ewa jakby we śnie zdjęła małą słuchawkę z uszu. Nie mogła uwierzyć, że to, co przed chwilą słyszała, jest najprawdziwszą prawdą. Jeszcze nigdy dotąd nie udało się jej zdobyć z taką łatwością tak cennych informacji. Po chwili zastanowienia radość Ewy prysła jak bańka mydlana. Przypomniała sobie zasadę swych mocodawców:

„Agent, który wie za dużo, jest niewygodny”... A to przecież, czego dowiedziała się dziesięć minut temu, wykra-
czało daleko poza normalny „stopień wtajemniczenia”.
Chłodna i opanowana Szwedka postanowiła zrealizować
swoją od dawna zresztą obmyślany plan: otrzymać wysoką
nagrodę z RSHA i odzyskać swobodę osobistą. Z tego też
względów zdecydowała się uśpić czujność „rycerzy trupiej
główki” w stosunku do Meiera.

„Ten sympatyczny i przystojny młody człowiek — po-
myślała Ewa — może mi się jeszcze przydać”.

Ostatecznie do Berlina dotarł dokładne sprawozdanie
z podsłuchanej rozmowy, z tym jednak, że Ewa nie wspom-
niała w nim ani słowem o roli Meiera.

Heydrich po zapoznaniu się z raportami Ewy zażądał
natychmiastowego przyjęcia przez Himmlera.

— A więc Kurz i Barten to wysłannicy pana admirała!

— Jawohl, Herr Reichsführer. Nie ulegą najmniejszej
wątpliwości. Poza tym stwierdziłem, że generał Beck po-
zostaje w ścisłej łączności nie tylko z generałem Osterem,
ale także cieszy się zaufaniem i przyjaźnią naszego amba-
sadora w Moskwie hrabiego Schulenburga. W dalszym
ciągu uważam, że trzeba natychmiast powiadomić o całej
tej sprawie führera.

— No tak. Wszystko staje się jasne, Heydrich. Niech pan
słucha uważnie. Meiera, Kurza i Bartena należy zlikwido-
wać. Wilhof niech dopilnuje, aby Ewa wróciła do Berlina.
Führerowi nic nie będziemy mówili. Po pierwsze dlatego,
że zajęty jest w tej chwili opracowywaniem nowych pla-
nów. A po drugie dlatego, Heydrich, że... sporo by się nam
oberwało za to, że w ogóle dopuściliśmy, aby ta afera przy-
brała tak szeroki zasięg. Na razie zbierajmy dowody. W od-
powiednim czasie udowodnimy führerowi, że liczyć może
tylko na nas. I niech pan, Heydrich, pamięta, że cała ta

generalska heca i tak skończyłaby się kompletną klęską. Tym panom wydaje się, że bez odpowiedniego zaplecza uda się im podważyć fundamenty naszego narodowo-socjalistycznego ustroju.

Ewa po kolejnym wieczornym spacerze z Meierem wróciła do swego pokoju. Otworzyła drzwi i nie zapalając światła rzuciła się na fotel. Sięgnęła następnie ręką po torebkę, aby wyjąć papierosy i... przerażenie ścisnęło ją żelazną obręczą za gardło. Na fotelu przy biurku majaczyła ciemna postać.

— Dobry wieczór, signora Ewa. Nie poznaje mnie pani? A to doprawdy nieładnie. Znamy się przecież z widzenia. A teraz?

Dyskretne światło nocnej lampki rozproszyło ciemności. Przed Ewą stał znany w wytwornym towarzystwie rzymskim i kołach Wysokiej Rady hrabia E., uchodzący za emigranta, który musiał opuścić Austrię w obawie przed prześladowaniami hitlerowskimi.

— Ewo, Berlin postanowił zakończyć akcję. Musi pani...

— Ależ hrabio! Skąd pan!?

— Nie pora teraz na udzielanie wyjaśnień. Przysłał mnie tu Wilhof. Jutro po południu wyciągnie pani Meiera na przejażdżkę hotelowym autem w kierunku Ostii. Oczywiście zrezygnuje pani z usług szofera. Umie przecież pani prowadzić, prawda? Oto dokładny szkic trasy przejazdu. Zatrzyma się pani, o tu! Resztę załatwimy sami. A pani następnego dnia rano wyjedzie do Berlina. Po zasłużoną nagrodę.

Hrabia pochylił się w wytwornym ukłonie i wyszedł z pokoju. Ewą wstrząsnął dreszcz. Gotowa była przysiąc,

że uśmiech gościa miał w sobie coś przerażająco okrutnego.

— Ojciec L. wycofał się nie racząc uzasadnić swej decyzji — relacjonował Meier Kurzowi i Bartenowi na porannym spotkaniu w małej kawiarence wyniki swych pertraktacji z kołami Wysokiej Rady — ale skontaktował mnie z ojcem T. To bardzo poważna osobistość. Autor szeregu cenionych dzieł z zakresu historii. Podobno nawet osobisty przyjaciel Mussoliniego. T. początkowo entuzjastycznie ustosunkował się do mojej propozycji, twierdząc, że jego obowiązkiem jest mi pomóc, bo komu bardziej powinno zależeć na przywróceniu pokoju jak nie właśnie Wysokiej Radzie. Potem jednak nieco ochłonął i przeprosiwszy mnie wyszedł z pokoju. Słyszałem, jak rozmawiał z kimś przez telefon. Gdy wrócił, był już o wiele chłodniejszy. Dawał mi wymijające odpowiedzi. W końcu oświadczył, że spotkanie z lordem Osbornem jest w tej chwili nieaktualne.

Okolo południa tego upalnego jesiennego dnia Monicellemu udało się ponownie nawiązać łączność z AZK i przejąć niezwykle ważne wiadomości. Natychmiast zamknął winiarnię na cztery spusty i pobiegł do hotelu „Milano”. Gdy był już blisko, sprzed hotelu ruszyła właśnie błękitna „Lancia”. Przy kierownicy siedziała młoda, urocza blondynka, a obok niej rozpromieniony Meier. Sekundę później zza rogu „wyskoczył” sportowy „Alfa Romeo”. Monicelli bezradnie rozejrzał się wokoło. Jak zbawienie przed hotelem zjawiała się taksówka. Wysiedli z niej panowie Kurz i Barten, wracający do domu po spotkaniu z Meierem. Spojrzeli zdziwieni na znanego im „kolegę po fachu”.

— Słuchajcie — mówił rozgorączkowany Mino. — Mu-

sicie znikać. Natychmiast! Spotkamy się za dziesięć dni w wiadomym miejscu — i na oczach pobladłych z wrażeń Kurza i Bartena wskoczył do taksówki.

— Pięć tysięcy lirów za dopędzenie tego „Alfa Romeo”! Widział go pan? A jak dobrze pójdzie, to dziesięć tysięcy!

Na szczęście ruch w Rzymie między pierwszą a trzecią po południu zamiera prawie zupełnie. Inaczej ten piekielny wyścig samochodowy po wąskich ulicach śródmieścia Wiecznego Miasta skończyłby się straszliwym karambolem. Trzy wozy ścigane ostrzegawczymi gwizdkami policjantów runęły w dół ze śródmieścia ku autostradzie prowadzącej do Ostii. Trzeba przyznać, że taksówkarz dokonywał cudów swoim wysłużonym „Fiatem”.

— Jeżeli nie dostaniemy ich przed autostradą, to nic z tego nie będzie! — popędział Monicelli. — Niech pan uważa! Dobrze! Dobrze! Niech pan wyminie tego „Alfa Romeo” i zajedzie mu drogę. Płacę za wszelkie szkody.

Na wąskich uliczkach starego miasta wytrawny rzymski taksówkarz górował zręcznością i rutyną nad siłą motorów ściganych wozów. Jeszcze trochę gazu i „Fiat” znalazł się między „Lancią” i „Alfą”. Przeraźliwy pisk hamulców, jaki rozległ się za plecami Ewy i Artura, skłonił „zmotoryzowaną amazonkę” do znacznego zredukowania szybkości i spojrzenia w lusterko. Ewa błyskawicznie oceniła sytuację: „Fiat” zajechał „Alfie” drogę. To nie jest przypadek. A więc... Teraz pora! Szwedka zatrzymała wóz i powiedziała do Meiera:

— Zobacz, co się tam dzieje. Masz tu na wszelki wypadek...

Meier mocno ścisnął chłodną stal małego rewolweru i ruszył w kierunku „Alfy” i „Fiata”. Przy sportowym wozie stał Monicelli.

— Co ty tu robisz?

— Artur! Już się uporałem z tym facetem. AZK nadała... Co by z tobą, chłopie, było, gdybym się spóźnił! Trzeba wiać! Musisz tylko załatwić jeszcze jedną sprawę — Monicelli nachylił się do ucha Meiera. Do obu mężczyzn zbliżyła się Ewa.

— Artur! Ja wszystko wiem. Później ci wytłumaczę. Uciekajmy! Mam znajomego kapitana. Okręt szwedzki stoi w Neapolu. Uciekajmy!

— Dobrze, Ewo. Wykonam jeszcze jedno polecenie i znikniemy.

Ojciec T. z wyraźną niechęcią przyjął Meiera. W końcu uległ jego gorącym prośbom i mimo późnej pory zatelefonował do ambasady norweskiej.

— Tu T. Czy można rozmawiać z jego ekscelencją? Tak, tak. Oczywiście. Nie, to bardzo ważna sprawa. Pan Herald Gustavsen? Dobrze, dziękuję. Do widzenia.

— Ambasador udał się na spoczynek, signor Meier... Przyjmie pana sekretarz ambasady Gustavsen; o ile będzie uważał, że wiadomość, którą mu pan zakomunikuje, jest pierwszorzędnej wagi, wówczas zbudzi ambasadora...

Jakby na złość Meier nie mógł znaleźć wolnej taksówki. Zanim dotarł autobusem i trolejbusem do siedziby ambasady, była już 23.30. Upłynęło dalsze pięć minut, zanim zaspany portier raczył otworzyć drzwi. Po kwadransie do hallu zszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w szlafrok i piżamę.

— Myślałem, że pan już zrezygnował ze złożenia mi wizyty. Pan wybacz, ale tak nieocze...

— Pan Gustavsen?

— Tak, tak.

— Jestem przedstawicielem antyhitlerowskiej grupy...

— Wiem, wiem, T. mówił mi.

— To świetnie. Zdobyliśmy niezwykle ważną wiadomość. Dotyczy ona pańskiego kraju. Otóż w pierwszej połowie kwietnia przyszłego roku Hitler planuje zaatakować Danię i Norwegię. Opracowywane są plany desantów. O ile potraktujecie nas poważnie i ułatwicie nam kontakty z Anglikami, dostarczymy bliższych danych.

— Skąd pan o tym wie?!

— Od osoby stojącej bardzo blisko Hitlera.

— Jak się ona nazywa?

— Tego nie mogę panu powiedzieć.

— Wybacz pan, ale to wszystko wygląda na jakąś mistyfikację. Wytwórz fantazji!

— Bardzo pana proszę, niech pan zawiadomi o tym natychmiast ambasadora.

— Teraz jest zbyt późno na zakłócenie spoczynku ambasadorowi. Ale może być pan pewien, że jutro rano natychmiast poinformuję ekscelencję o tych rewelacjach. Żegnam pana.

Po odejściu Meiera sekretarz roześmiał się w głos:

— I ja miałbym się dla tego maniaka narażać na pośmiewisko! Przecież lord Osborne, jak się wydaje, także niezbyt ufa spiskowcom.

A swoją drogą ciekawe, czy Gustavsen, który nie pisał ni słowem ambasadorowi o nocnej wizycie Meiera, przypomniał sobie jego ofertę w dniu 10 kwietnia 1940 roku, gdy hitlerowskie bomby spadały na Oslo?

Meier wrócił do hotelu o drugiej w nocy. Był tak zmęczony, że wchodząc do hallu nie zauważył siedzących wygodnie w fotelach pięciu panów. Dopiero dziwne spojrze-

nie portiera, wręczającego mu klucz, otrzeźwiło go zupełnie. Było już jednak za późno. Ujęty z dwóch stron pod ramiona wyprowadzony został bez słowa na ulicę. Zdołał jeszcze spojrzeć na trzecie piętro. Okno w pokoju Ewy było ciemne. „Fiat 1500” ruszył łagodnie z miejsca.

OPERACJA „BIEGUN PÓŁNOCNY“

Nie istniejąca sieć

Pewnego deszczowego dnia w połowie grudnia 1943 roku w gmachu centrali wywiadu brytyjskiego na Europę przy Berkeley Square w Londynie odbyła się ściśle tajna narada z udziałem kilku wyższych oficerów Military Intelligence*.

W gabinecie szefa MI, sir Hugh, powietrze było nasycone dymem papierosów. Narada przeciągała się. Oficerowie z uwagą przysłuchiwali się wypowiedziom szefa, który stojąc przy olbrzymiej mapie ściiennej, pokrytej siatką różnobarwnych nici i kolorowych punktów, omawiał działalność rozgałęzionej organizacji wywiadowczej Intelligence Service na terytorium okupowanej przez Niemców Holandii.

Od czasu do czasu sir Hugh wtrącał soczyste dowcipy o nieudolności niemieckiego kontrwywiadu, które wywoływały uśmiechy na twarzach zebranych. Sytuacja w istocie kształtowała się bardzo optymistycznie. Pod koniec 1943 roku brytyjska sieć wywiadowcza w Holandii liczyła ponad tysiąc agentów i współpracowników, zgrupowanych w trzech organizacjach podziemnych: „RLS”, „Trąba” i „Marrow”. Dysponowały one łącznie kilkudziesięcioma

* Wywiad wojskowy (przyp. aut.).

nadajnikami, które utrzymując stały kontakt radiowy z centralą informowały dowództwo brytyjskie o wszystkich taktycznych, operacyjnych i politycznych posunięciach nieprzyjaciela. Organizacje te zaopatrywane były bez przerwy drogą powietrzną w niezbędny sprzęt i materiały wybuchowe. Miały one bowiem do spełnienia bardzo ważne zadania w razie inwazji aliantów na Holandię lub Francję: organizowanie masowej dywersji na tyłach armii niemieckich.

Była to bez wątpienia jedna z największych i najbardziej kosztownych operacji wywiadowczo-dywersyjnych Intelligence Service podczas ubiegłej wojny. Nikt wtedy n'e przypuszczał, że Niemcy z niesłychaną zręcznością oszukiwali przez trzy lata najtęższe głowy brytyjskiego wywiadu.

Major G. rusza do akcji

W październiku 1941 roku jeden z najzdolniejszych oficerów III — kontrwywiadowczego oddziału Abwehry, trzydziestodwuletni major Kurt G., który zajmował się w tym czasie organizacją systemu nasłuchowo-pelengacyjnego Funk-Abwehry* na terenach zachodnich III Rzeszy, został niespodziewanie wezwany do Berlina z poleceniem zameldowania się u szefa oddziału, pułkownika von Bentivegniego. Pułkownik przyjął majora niezwykle uprzejmie, polecając mu natychmiast objąć kierownictwo kontrwywiadowczej placówki Abwehry na terytorium Holandii.

— Pańskie zdolności, znajomość języków tubylców i ich mentalności, drogi majorze — mówił Bentivegni — w pierwszym rzędzie pana predestynują na to stanowisko. Ufam,

* Funk-Abwehr — wywiad i kontrwywiad radiowy (przyp. aut.).

że pomyślnie pokona pan wszystkie trudności. Oto nominacja podpisana przez admirała, który prosił mnie, by przekazać panu w jego imieniu serdeczne gratulacje.

Wybór dokonany przez pułkownika Bentivegniego nie mógł być bardziej trafny. Zupełny brak skrupułów i fenomenalne zdolności śledcze Kurta G. znane były powszechnie w Abwehrze. Jego niespodziewany awans nie wywołał więc zbytniego zdziwienia.

Wkrótce po swojej wizycie w gmachu centrali Abwehry major G. przybył do Scheveningen obejmując kierownictwo miejscowej placówki kontrwywiadowczej. Do jej zadań należała walka z obcymi wywiadami i dywersją na terytorium okupowanej przez Niemców Holandii. Od początku wojny placówka ta nie odniosła żadnych większych sukcesów; swoje niepowodzenia operacyjne uzasadniała brakiem aktywności ze strony Intelligence Service i holenderskiego ruchu oporu. Twierdzenie to nie odpowiadało jednakże prawdzie. Kierownictwo Abwehry dysponowało bowiem od pewnego czasu poufnymi informacjami o istnieniu na tym terenie jakiejś bliżej nie zidentyfikowanej organizacji podziemnej utrzymującej łączność z wywiadem alianckim.

Przed przystąpieniem do akcji likwidacyjnej należało w pierwszym rzędzie dokładnie rozpoznać strukturę i cele tej organizacji. Kurt G. z właściwą sobie energią przystąpił więc do dzieła.

Pierwszy cios

W listopadzie placówka Abwehry w Scheveningen otrzymała pierwsze bardziej dokładne informacje o owej organizacji podziemnej.

Jeden z tajnych współpracowników Kurta G., kolaborujący z Niemcami Holender, niejaki van Ledder, występujący także pod nazwiskiem Ridderhoff, któremu udało się przeniknąć do szeregów ruchu oporu, meldował, że poszukiwana organizacja została założona przez dwóch agentów brytyjskiego wywiadu przybyłych specjalnie w tym celu z Wielkiej Brytanii.

Do zadań jej należało dokonywanie sabotaży oraz informowanie Intelligence Service o siłach, uzbrojeniu i dyslokacji wojsk niemieckich w Holandii. Grupa ta utrzymywała łączność z Londynem za pomocą radiostacji posługującej się sygnałem rozpoznawczym „RLS”, od którego także wzięła swoją nazwę.

Ze względów konspiracyjnych o miejscu ukrycia radiostacji wiedzieli tylko nieliczni starzy członkowie grupy i wszystkie wysiłki van Leddera zmierzające do uzyskania tej informacji zakończyły się niepowodzeniem. Kurtowi G. chodziło zaś przede wszystkim o zdobycie radiostacji. W jego umyśle powstał już wtedy pewien plan, którego realizacja mogła zadać druzgocący cios brytyjskiej służbie tajnej. Szef placówki kontrwywiadowczej nie tracił jednak nadziei, że wkrótce uda mu się schwycić obsługę tajnej radiostacji.

W dwa miesiące później, w styczniu 1942 roku, porucznik Heinrichs z Funk-Abwehry, dyżurując przy aparaturze nasłuchowo-pelengacyjnej, przejął sygnały wywoławcze poszukiwanej stacji nadawczej i w przybliżeniu określił jej pozycję. Od tej chwili służba nasłuchowa Abwehry na rozkaz majora G. miała pilnie śledzić wszystkie poczynania „RLS”. Po opanowaniu nieprzyjacielskiej stacji nadawczej i aresztowaniu wszystkich członków grupy „RLS” major G. miał zamiar utrzymywać nadal za pośrednictwem radiostacji łączność z Londynem. Powodzenie tego planu

umożliwiłoby Niemcom rozpracowanie całego systemu wywiadowczego Intelligence Service w Holandii.

Jednego z pierwszych dni marca wczesnym rankiem, gdy gęsta, wilgotna mgła wypełniła ulice miasta, ruchome ekipy pelengacyjne ruszyły do akcji przeciwko „RLS”. Po upływie kilku godzin udało się im dokładnie zlokalizować jej pozycję.

Mieściła się ona na strychu starej kamienicy czynszowej na przedmieściu robotniczym Hagi. Ujęto telegrafistę, agenta brytyjskiego wywiadu „Rabbita”, którego niezwłocznie przewieziono do siedziby Abwehry i osadzono w areszcie. Przed wieczorem schwytano także wszystkich pozostałych członków organizacji. Aresztowania przeprowadzano w sposób jak najbardziej dyskretny, ponieważ nawet najmniejszy rozgłos wokół tej sprawy mógł zniweczyć powodzenie planu Kurta G.

Abwehra zarzuca przynętę

Zdobycie konspiracyjnego nadajnika i szyfrów otwierało przed kontrwywiadem niemieckim możliwość kontrolowania planów i działań brytyjskiego wywiadu na terytorium Holandii. Należało jednak utrzymywać nadal normalny kontakt radiowy z Londynem, aby wywiad brytyjski nie mógł się dowiedzieć o „wsypie” i grożącym mu niebezpieczeństwie. Teoretycznie Kurt G. dysponując zdobycznymi szyframi i kodem mógł bez większych trudności wprowadzić w życie to zamierzenie. Praktycznie jednak było to rzeczą zupełnie niewykonalną. Pracownicy Abwehry wiedzieli doskonale, że każdy radiotelegrafista posiada własny, indywidualny sposób przekazywania wiadomości, stosunkowo łatwo rozpoznawany przez doświadczonych

specjalistów. Zastąpienie aresztowanego „Rabbita” podstawionym przez kontrwywiad radiotelegrafistą mogłoby więc obudzić różne podejrzenia w centrali Intelligence Service. Pozostawała więc w zasadzie tylko jedna droga: zmusić „Rabbita” do współpracy z Abwehrą. Ukryte w tym było wprowadzić także pewne ryzyko, ponieważ wykorzystując chwilę nieuwagi pracowników Abwehry mógł on ostrzec Londyn o niebezpieczeństwie, innego wyjścia jednak nie było.

Kurt G. wziął na siebie tę trudną misję. Odwiedził „Rabbita” w jego celi i przedstawił mu swoją propozycję.

— Jeśli pan nie wyrazi natychmiast zgody na współpracę z nami — powiedział Kurt — to za kilka minut pod oknem tej celi rozstrzelamy pięciuset zakładników, wliczając w to pańskich rodziców.

— Nie macie prawa mordować niewinnych ludzi tylko dlatego, że ja nie chcę być zdrajcą — wybuchnął „Rabbit”.

— Proszę nie zapominać, że jest pan w naszych rękach — odparł spokojnie Kurt. — Mogę pana zapewnić, że jak dotąd nigdy jeszcze nie złamałem danego słowa. Ci ludzie zginą dokładnie w kwadrans po pańskiej odmowie.

Major był rzeczywiście zdecydowany wykonać swoją groźbę, gdyby „Rabbit” dał odpowiedź odmowną. Przez chwilę obaj mężczyźni w napięciu mierzyli się wzrokiem. W celi panowała przygnębiająca cisza. Major zaczął wolno naciągać płaszcz.

— A więc? — zapytał.

„Rabbit” załamał się. Pragnienie oszczędzenia rodzinie męczeńskiej śmierci niweczyło wszelki opór. Ten Niemiec był rzeczywiście gotów na wszystko, aby wprowadzić w życie swoje zamierzenia.

Od tego dnia codziennie o ustalonej godzinie „Rabbit” opuszczał celę i zasiadał przy tak dobrze sobie znanej apa-

raturze nadawczej, przesyłając do Londynu szyfrogramy, których treść opracowywali współpracownicy majora G. Czywiście nad przebiegiem nadawania czuwał zawsze jeden z oficerów Funk-Abwehry, który ze słuchawkami na uszach i ręką na kluczu gotów był w każdej chwili przerwać połączenie, gdyby „Rabbit” próbował ostrzec Londyn o niebezpieczeństwie. Przez jakiś czas Kurt G. w napięciu czekał na jakiś sygnał z Londynu świadczący o zdemaskowaniu całej akcji. Nic się jednak nie wydarzyło. Wywiad brytyjski połknął zarzuconą przynętę. Opracowany przez Kurta plan działania przeciwko Intelligence Service oznaczony został kryptonimem operacja „Nordpol” — „Biegun Północny” — i nazwa ta pojawiała się odtąd bardzo często w tajnej korespondencji między centralą berlińską a holenderską placówką kontrwywiadu Abwehry.

Obłity polów

W końcu marca nastąpiło wreszcie wydarzenie, na które od dłuższego czasu oczekiwali oficerowie Abwehry — współpracownicy Kurta G. Był to pierwszy większy sukces uzyskany podczas realizacji operacji „Nordpol”. Przyjęty przez „RLS” szyfrogram z centrali brytyjskiego wywiadu w Londynie zawierał wiadomość o skierowaniu do Holandii drogą powietrzną kilku agentów wywiadu — skoczków spadochronowych i dużej ilości sprzętu dywersyjnego. Treść radiogramu wstrząsnęła „Rabbitem”, który oświadczył kategorycznie, że rezygnuje z dalszej współpracy z Niemcami, nie mając zamiaru przyczyniać się do schwytania tych ludzi. Jego nieoczekiwana decyzja o mały włos nie doprowadziła do fiaska operacji, ponieważ Lon-

dyn żądał szybkiej odpowiedzi na swój radiogram, a poza „Rabbitem” nie było nikogo, kto mógłby ją nadać. I znowu Kurt G. przy pomocy gróźb i szantażu musiał przełamywać jego opór.

— Tych ludzi złapiemy niezależnie od tego, czy będzie pan współpracował nadal z nami czy nie — oświadczył Kurt G. — Jednakże, jeśli zdecyduje się pan nadal słuchać naszych rozkazów, do końca wojny nie spadnie im nawet jeden włos z głowy. Nie zostaną wysłani do obozu koncentracyjnego i pozostaną pod opieką Wehrmachtu. W przeciwnym zaś wypadku...

Charakterystyczny gest ręki mówił sam za siebie.

I „Rabbit” uległ ponownie.

W kilka minut później sekcja łączności centrali Intelligence Service odebrała odpowiedź z Hagi. Grupa „RLS” zawiadamiała o swojej gotowości do przyjęcia zrzutu w miejscu i o godzinie proponowanej przez centralę.

Wieczorem z pewnego wojskowego lotniska RAF położonego w pobliżu Londynu wystartował do lotu nad Holandią ciężki bombowiec „Halifax”, unosząc na swoim pokładzie ośmiu skoczków spadochronowych oraz ciężkie zasobniki ze sprzętem, bronią i amunicją przeznaczoną dla haskiej grupy ruchu oporu. W tym samym mniej więcej czasie, gdy maszyna walcząc z przeciwnym wiatrem przełatywała nad Morzem Północnym, opuszczała Hagę udając się na południe niewielka kolumna samochodów. Specjalna grupa likwidacyjna Abwehry ruszała do akcji z zadaniem schwytania spadochroniarzy i przejęcia zrzutu.

Samolot nadleciał po dłuższym oczekiwaniu, gdy Kurt G. zaczynał już wątpić w powodzenie planu. Na dany przez niego znak zapłonęły zielone światła wytyczające pole zrzutu. Bombowiec hucząc silnikami na niewielkiej wysokości zatoczył głęboki skręt nad lasem. W końcu od-

dzieliło się od niego kilka ciemnych punktów, doskonale widocznych na tle rozgwieżdżonego nieba.

Kurt G. i jego ludzie pośpiesznie składali sobie gratulacje. Dotąd szło wszystko jak z płatka. Po chwili przeprowadzono schwytanych spadochroniarzy, którzy po-niewczasie zorientowali się, w czyich znaleźli się rękach. Na obronę było już jednak za późno. Ich broń znajdowała się pod pieczę funkcjonariuszy Abwehry.

Po powrocie do Hagi Kurt G. polecił zawiadomić Londyn o pomyślnym przebiegu lądowania skoczków, dodając, że skoczkowie znajdują się w bezpiecznym miejscu. Nie było w tym zresztą cienia przesady.

Jeńcy bowiem zostali osadzeni w ponurych i wilgotnych celach miejscowego więzienia.

Pogrom

Wkrótce po tym wydarzeniu Abwehra została zaalarmowana niepokojącym meldunkiem o znalezieniu w pobliżu Holten zwłok spadochroniarza poległego w czasie niefortunnego lądowania, którego przybycie nie było awizowane przez Londyn kierownictwu grupy „RLS”.

Drugi sygnał ostrzegawczy nadszedł ze stacji nasłuchowo-pelengacyjnej Abwehry w Utrechcie, która donosiła o wykryciu nowej, działającej w okolicach Amsterdamu stacji nadawczej o kryptonimie „Trąba”, utrzymującej łączność radiową z Londynem. Fakty te świadczyły aż nazbyt wyraźnie, że wywiad angielski przystąpił do organizowania niezależnej od „RLS” i równoległej do niej drugiej sieci wywiadowczej na terytorium holenderskim.

Myśl o tym nie dawała spać majorowi G. przez kilka nocy. Trapiła go świadomość, że powodzenie operacji

„Nordpol” zawisło na cienkiej i w każdej chwili grożącej zerwaniem nitce. Obawy te okazały się jednak przedwczesne. W końcu maja Abwehry otrzymała prosto z Londynu wyczerpujące informacje o tajemniczym nadajniku i skupionej wokół niego kilkunastoosobowej grupie agentów. „RLS” otrzymała rozkaz z Londynu niezwłocznego nawiązania kontaktu z grupą i udzielenia jej wszelkiej pomocy w przekazywaniu do centrali informacji wywiadowczych, ponieważ nadajnik tamtej grupy nie był w stanie podołać tej pracy. Tego tylko brakowało Kurtowi G. do szczęścia. W ręce Abwehry wpadł drugi kanał łączności brytyjskiego wywiadu wraz z ludźmi, szyframi i całą aparaturą.

Apetyt rośnie jednak w miarę jedzenia i major odważył się na czyn zupełnie nieprawdopodobny. Poinformował Londyn, że wśród członków grupy „RLS” znajduje się człowiek, który doskonale potrafi obsługiwać aparaturę nadawczą. Sekcja łączności centrali Intelligence Service natychmiast przysłała odpowiedź z żądaniem przeprowadzenia próbnej transmisji w celu sprawdzenia jego kwalifikacji. Przy radionadajniku zasiadł oczywiście radiotelegrafista z Abwehry i jak się należało spodziewać, kandydatura jego została przyjęta. Dzięki temu Kurt G. mógł wreszcie wyeliminować z gry „Rabbita”, który w każdej chwili mógł zrobić jakieś niespodziewane i zgubne w skutkach pociągnięcie. Od tego momentu trzy całkowicie kontrolowane przez kontrwywiad niemiecki kanały łączności wiązały wywiad brytyjski z jego istniejącymi nadal rzekomo na terytorium Holandii grupami wywiadowczymi.

Szef III oddziału Abwehry, pułkownik Bentivegni, nie posiadał się z zadowolenia. Jego protegowany odnosił wspaniałe rezultaty w walce z wrogim wywiadem. Z Hagi do Berlina płynęły strumieniami meldunki i informacje

o wszystkich planach i zamierzeniach operacyjnych Anglików na terytorium Holandii, która zdaniem Niemców ze względu na swoje położenie strategiczne powinna była być brana pod uwagę jako teren przyszłej inwazji alianckiej.

Gra jednakże stawiała się coraz bardziej ryzykowna. Londyn mógł dowiedzieć się w każdej chwili, że wszystkie nadajniki są obsługiwane przez Niemców i że cała sieć wywiadowcza znajduje się pod ich kontrolą.

Wielki bluff

W lipcu 1942 roku Londyn powierzył grupie „RLS” nowe, poważne zadanie. W pobliżu Kootwijk znajdowała się potężna stacja nadawcza Kriegsmarine utrzymująca łączność z U-bootami operującymi na dalekich akwenach Atlantyku, którym przekazywała dane wywiadu o sytuacji na oceanie i ruchach alianckich konwojów. Zniszczenie jej zdeorganizowałoby więc na pewien okres działania niemieckie przeciwko żegludze sprzymierzonych. Należało rozpoznać sytuację i system ochrony stacji, aby zorientować się, czy akcja dywersyjna jest możliwa. Londyn żądał szybkiej odpowiedzi. Kurt G. natychmiast zorganizował z kilku swoich ludzi, tajnych współpracowników Abwehry, grupę rozpoznawczą, która działając w konspiracji ustaliła, że dokonanie sabotażu nie przedstawiałoby większych trudności.

Stacja nadawcza „RLS” nadała do Londynu szyfrogram o następującej treści:

AKCJA DYWERSYJNA MOŻLIWA. OCZEKUJEMY DALSZYCH INSTRUKCJI.

Centrala Intelligence Service przysłała odpowiedź:

WYKONAĆ ZADANIE. ŻYCZYMY POWODZENIA.

Kurt G. spodziewał się tego i zawczasu przygotował inscenizację zamachu. Tajny agent Abwehry Wald Theen wraz z kilkoma ludźmi otrzymał rozkaz przeprowadzenia mistyfikacji ataku na radiostację. Zostali oni zaopatrzeni w ślepą amunicję, petardy itp. W podobny sposób wyekwirowano załogę radiostacji, którą poinformowano o specjalnych ćwiczeniach nocnych, mających na celu sprawdzenie stanu jej obronności. Przed nastaniem zmierzchu Theen wraz ze swoją grupą wyruszył do akcji. Ciemności nocne w Kootwijk zostały rozdarte rozbłyskami eksplozji i głuchym trzaskiem karabinów maszynowych. Następnego dnia cała okoliczna ludność mówiła tylko o nocnej dywersji, wyolbrzymiając ilość i siły sabotażystów. Cała prasa holenderska zamieściła na czołowych kolumnach wiadomości o odparciu przez obronę radiostacji silnego oddziału sabotażystów złożonego z „komunistów i elementów kryminalnych”.

Informacje te były w sprytny sposób inspirowane przez Kurta G., który z ramienia Abwehry poinformował dziennikarzy kolaboracyjnych holenderskich szmatławców o szczegółach zamachu. Wydarzenie to zostało także wykorzystane przez Gestapo do walki z lewicowym ruchem oporu. W odwet za „dokonanie zamachu” rozstrzelano w Hadze, Amsterdamie i Rotterdamie około czterystu zakładników. Londyn zaś został poinformowany przez Kurta G. o niepowodzeniu operacji i rozbiciu grupy dywersyjnej.

Organizacja „Marrow“

Jesienią 1942 roku wywiad brytyjski skierował do Hollandii jednego ze swoich najlepszych agentów, kapitana armii holenderskiej Gustawa Jambroesa, z zadaniem na-

wiązania kontaktu z przywódcami holenderskiej organizacji podziemnej „Ordedienst”, o której Abwehra posiadała tylko bardzo mgliste informacje. Wszystkie próby przeniknięcia do jej szeregów zawodziły, ponieważ organizacja ta nie utrzymywała z innymi ugrupowaniami żadnych kontaktów, działając w pełnej konspiracji. Jambroes zgodnie z otrzymanymi rozkazami nawiązał w pierwszym rzędzie kontakt z grupą „RLS”, która miała mu udzielić pomocy w zaaklimatyzowaniu się na obcym terytorium, i w ten sposób wpadł w ręce Kurta G. Energicznie prowadzone przez kontrwywiad niemiecki śledztwo w jego sprawie ujawniło, że głównym zadaniem Jambroesa było zorganizowanie z członków „Ordedienstu” szesnastoosobowych grup dywersyjnych, przeznaczonych do działań operacyjnych na tyłach armii niemieckich w Holandii.

Ponieważ po aresztowaniu Jambroesa szanse dotarcia do tej organizacji były bardzo nikłe i wymagały sporo czasu, Kurt G., pragnąc ją szybko wyeliminować z gry, zawiadomił Londyn, że do jej szeregów przeniknęli niemieccy prowokatorzy, i zaproponował skontaktowanie Jambroesa z inną, ze wszech miar godną zaufania organizacją „Marrow”. Organizacja ta istniała jednakże wtedy tylko na papierze. Kurt G. zdawał sobie sprawę z konieczności urzeczywistnienia fikcji, jeśli gra miała toczyć się dalej. Formowanie organizacji „Marrow” rozpoczęło w sierpniu 1942 roku. W jej skład weszło kilkunastu tajnych współpracowników Abwehry i SD, rekrutujących się ze środowiska miejscowych kolaborantów. Szeroko reklamowane sukcesy tej organizacji wywarły głębokie wrażenie na szefach Intelligence Service, którzy powierzali jej coraz bardziej trudne i odpowiedzialne zadania. Kurt G. coraz więcej czasu musiał poświęcać inscenizacji

różnych fikcyjnych akcji i zamachów, przesyłając do Londynu odpowiednio spreparowane informacje o zamierzeniach i siłach wojsk niemieckich w Holandii.

Jesienią zakomunikowano Londynowi o zakończeniu stadium organizacji sieci wywiadowczo-dywersyjnej „Marrow”. Kurt G. zażądał od centrali Intelligence Service przysłania sprzętu, uzbrojenia i amunicji. Londyn bez zwłoki dostarczył potrzebnego wyposażenia. Nie pozbawionym pikanterii szczegółem jest fakt, że broń przeznaczona dla grupy „Marrow” została później użyta do wyekwipowania specjalnych niemieckich grup dywersyjnych podległych Abwehrze.

Pewną trudność sprawiło Kurtowi nieoczekiwane żądanie Londynu przesłania Jambroesa na konsultację do Anglii kanałem przerzutowym wiodącym przez Belgię i Francję. Polecenie to groziło w każdej chwili zdemaskowaniem operacji Abwehry i Kurt G. musiał szybko znaleźć niezbite argumenty przemawiające za czasowym odłożeniem tej sprawy. „RLS” poinformowała Londyn o spaleniu istniejących kanałów przerzutowych i wielkim niebezpieczeństwie grożącym Jambroesowi w razie skorzystania z tej drogi łączności. Jednocześnie na szpaltach gazet zaczęły pojawiać się informacje o ujęciu przez niemieckie organa bezpieczeństwa kilkunastu kurierów organizacji podziemnych, udających się z Holandii do Francji. Wiadomości te sprawiły, że Londyn rzeczywiście na pewien okres zrezygnował z zamiaru sprowadzenia Jambroesa do Anglii, jednakże na dłuższą metę sytuacja taka była nie do utrzymania. Kurt G. rozumiał to doskonale i dlatego zimą zawiadomił centralę Intelligence Service o aresztowaniu Jambroesa podczas ulicznej łapanki w Rotterdamie.

Wybieg szczura

Tak nazywano pospolicie w czasie wojny specjalne kanały przerzutowe, którymi udawali się do Anglii przez Francję i Hiszpanię zbiegli z obozów jenieckich oficerowie i żołnierze armii alianckich oraz lotnicy zestrzeleni w czasie walk powietrznych nad terytoriami okupowanymi przez Niemców. Centrala brytyjskiego wywiadu, zaniepokojona zdemaskowaniem wszystkich kanałów przerzutowych, wczesną wiosną 1943 roku powiadomiła grupę „RLS” o skierowaniu do Holandii kilku skoczków spadochronowych z zadaniem zorganizowania nowego „wybiegu szczura”, oznaczonego kryptonimem „Golf”. Kurt G. nie aresztował tych ludzi, pozwalając Anglikom zorganizować kanał przerzutowy, który Abwehra miała następnie zamierzać wykorzystać do swoich celów. Kiedy wszystkie prace zostały zakończone, „RLS” poinformowała Londyn o wysłaniu do Anglii zaufanego agenta o pseudonimie „Arnaud” z niezwykle ważnymi dokumentami. Rolę tę odegrał z powodzeniem bliski współpracownik Kurta, podoficer Kuno Arno, który pod maską kuriera ruchu oporu pokonał całą trasę. Aby umocnić zaufanie szefów brytyjskiego wywiadu do tego kanału, Kurt wysłał nim do Anglii kilkunastu oficerów alianckich, którzy nigdy nie dowiedzieli się, komu zawdzięczali swój niespodziewany powrót do kraju. Z drogi tej korzystała także Abwehra do przerzutu swoich szpiegów na terytorium Wielkiej Brytanii.

Koniec operacji „Nordpol”

Przez jakiś czas jeszcze operacja „Nordpol” rozwijała się bardzo pomyślnie, zgodnie z przewidywaniami Kurta G. Obawiał się on jednak, że informacje przesyłane do

Anglii przez wszystkie trzydzieści radiostacji grup „RLS”, „Trąba” i „Marrow” mogą nie zgadzać się z wiadomościami, które otrzymywał wywiad brytyjski przez kraje neutralne. Aby rozproszyć ewentualne podejrzenia, Kurt postanowił wykonać serię zamachów i sabotaży w kolejnictwie i portach holenderskich. Tym razem jednak nie miały być one inscenizowane. Starano się jedynie, aby przynosiły minimalne straty, wywołując jednocześnie szerokie komentarze.

Przygotowano także z zachowaniem zasad pełnej konspiracji, tak jakby to robiła prawdziwa organizacja podziemna, sabotaż na statku załadowanym szczątkami zestrzelonych samolotów, zakotwiczonym na Mozie w pobliżu miasteczka Oss. Wczesnym rankiem pewnego sierpniowego dnia, kiedy mieszkańcy miasta śpieszyli do pracy, na statku tym nastąpiła potworna eksplozja. Zgromadzone na wybrzeżu tłumy sądząc, że są świadkami działania agentów ruchu oporu, wydawały okrzyki radości i triumfu. Miejskowa placówka Gestapo wszczęła natychmiast śledztwo w tej sprawie, lecz mimo usilnych starań nie udało się jej wykryć sprawców.

Była to już jednak ostatnia akcja przeprowadzona przez Abwehrę w ramach operacji „Nordpol”. Jesienią 1943 roku dwóm agentom brytyjskiego wywiadu udało się zbiec z więzienia w Hadze i przedostać do Anglii. Od tej chwili wszystkie informacje przysyłane przez Londyn stały się jakieś mgliste i niekonkretne. Było to nieomylną oznaką, że operacja rozpadła się i Anglicy nie dadzą się więcej wprowadzić w błąd. Operacja „Nordpol” została zakończona. Ponad sześciuset aresztowanych agentów, trzysta ton sprzętu i materiałów wybuchowych zrzuconych przez samoloty RAF-u oraz likwidacja większości organizacji brytyjskiego wywiadu — stanowiły olbrzymią zdo-

bycz niemieckiego kontrwywiadu. Jest także rzeczą zupełnie prawdopodobną, że straty te zmusiły sztab aliancki do rezygnacji z pierwotnego planu wykonania w czasie D-day we Francji pomocniczego lądowania na terytorium holenderskim. Kurt G. postanowił zakończyć operację w sposób efektowny.

W ostatniej swojej transmisji radiostacje „RLS”, „Traby” i „Marrow” w imieniu Abwehry poinformowały firmę „Successors Ltd” w Londynie, za którą kryła się centrala brytyjskiego wywiadu, o zakończeniu tej wielkiej gry i pojedynku między Abwehrą a Intelligence Service.

Z Londynu odpowiedziano:

DZIĘKUJEMY. TERAZ KOLEJ NA NAS.

SZPIEG Z „PAPAGALLO“

Wczesną wiosną 1940 roku na estradzie budapeszteńskiej go nocnego lokalu rozrywkowego „Papagallo” występowała dziewiętnastoletnia tancerka, Adrianna P. Wkrótce lokal ten stał się bardzo popularny. Do „Papagallo” ścigały każdego wieczora rzesze wielbicieli jej talentu i urody oraz ci, którzy powodowani zwykłą ciekawością pragnęli ujrzeć na własne oczy bohaterkę wielu głośnych romansów i skandali towarzyskich.

Adrianna była wysoką brunetką o podłużnych, zielonych oczach i kształtach Artemidy. Obdarzona w dodatku błyskotliwą inteligencją i nieokiełzanym temperamentem, musiała wywierać fascynujący wpływ na mężczyzn, którzy usilnie zabiegali o jej względy. Pozyskanie ich nie było zresztą zbyt trudne. Adrianna nie uznawała żadnych hamulców moralnych. Odrzucając z godną podziwu odwagą i brutalnością wszelkie konwenanse i nakazy moralne, z łatwością przerzucała się z miłości w miłość zmieniając kochanków tak często, jak tylko miała na to ochotę. Wszędzie, gdziekolwiek się pojawiła, wywoływała powszechne zgorszenie, lecz mimo to nie było człowieka, który potrafiłby się oprzeć jej zniewalającemu urokowi.

Była kobietą zadziwiającą, prawdziwym dzieckiem fortuny. Zawsze sprzyjało jej szczęście i ze wszystkich niepowodzeń życiowych wychodziła obrońną ręką.

Jak każda wybitna indywidualność, a była nią bez wątpienia, miała wielu wrogów i potwarców.

Złośliwcy powtarzali sobie na ucho plotki, że każdy dobrze zbudowany, przystojny mężczyzna, dysponujący w dodatku znaczną sumą pieniędzy, przeznaczoną na zaspokajanie zachcianek Adrianny, mógł zostać jej kochankiem. Była w tym niewątpliwie część prawdy. Adrianna żywiła kult dla pieniędzy i rzeczywiście była gotowa uczynić wiele, aby je zdobyć. Nie tylko jednak miała to na względzie przy doborze swoich partnerów. Oczywiście dbała, aby jej potrzeby materialne były zaspokajane przez kochanków, dobierała sobie jednak takich mężczyzn, którzy interesowali ją pod względem intelektualnym i fizycznym.

Mając lat dziewiętnaście była już kobietą w pełni dojrzałą i doświadczoną. Prawdziwe uczucie ciągle jednak było obce jej sercu.

Wtedy właśnie ujrzał ją po raz pierwszy pięćdziesięcioletni dyplomata amerykański George-Howard E., gdy na wiosnę 1940 roku przybył w tajnej misji do Budapesztu.

Tajna misja

W kilka miesięcy po wybuchu drugiej wojny światowej Budapeszt awansował nagle do roli trzeciej po Paryżu i Londynie wojennej stolicy Europy, stając się areną zakulisowych rozgrywek dyplomatycznych i szpiegowskich.

Położenie geograficzne Węgier graniczących z III Rzeszą, Związkiem Radzieckim i państwami bałkańskimi sprzyjało zakrojonej na szeroką skalę działalności wywiadowczej. W Budapeszcie jak grzyby po deszczu powstawały pod różnymi konspiracyjnymi nazwami centrale i placówki szpiegowskie Abwehry, RSHA, Intelligence Service, polskiej „dwójki”, Deuxieme Bureau i innych wywiadów.

Wtajemniczeni twierdzili, że w ekskluzywnych nocnych lokalach stolicy Węgier można było kupić wszystkie tajemnice świata. Szampan i drogie wino płynęły strumieniami, a stosy walut całego świata zmieniały właścicieli. Na każdym kroku roiło się od tajnych agentów i szpiegów różnego autoramentu, gotowych za godziwą opłatą podjąć się każdego szpiegowskiego zadania.

Rząd admirała Horthy'ego, lawirując w tym czasie dość zręcznie między Wilhelmstrasse a Downing Street*, spoglądał na to wszystko przez palce. Klimat ten sprzyjał również zamierzeniom Howarda E., którego celem była organizacja siatki szpiegowskiej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Misja, którą miał wykonać, była bardzo delikatnej natury i w każdej chwili groziła kompromitacją, ponieważ została podjęta wbrew polityce prezydenta Roosevelta, który nie życzył sobie żadnych wrogich posunięć przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Howard E. podjął ją na polecenie pewnych kół politycznych Ameryki, wrogich komunizmowi, które nie zważając na groźbę ze strony Niemiec przygotowywały się skrycie do krucjaty przeciwko Rosji.

Howard E. zamieszkał incognito w jednym z hoteli i z wolna pokonując liczne trudności zaczął pleść swoją sieć. Wtedy poznał Adriannę.

Wieczorem Howard E. miał w „Papagallo” spotkanie z jednym ze swoich agentów, który przybywał z cennymi informacjami ze Związku Radzieckiego. O oznaczonej godzinie przybył do lokalu i zajął stolik ukryty w małej niszy tuż przy estradzie. Zbliżył się kelner. E. zamówił burgunda. Orkiestra grała jakieś rzewne argentyńskie tango. W kilka minut później zjawił się agent. Był bardzo

* Ulice, na których znajdowały się Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec i Wielkiej Brytanii w Berlinie i Londynie (przyp. aut.).

zdenerwowany. Twierdził, że tylko cudem uniknął zasadzki zastawionej na niego przez kontrwywiad radziecki, który przez cały czas jego pobytu na terytorium Ukrainy deptał mu po piętach. Przywiezione informacje nie były wcale tak rewelacyjne, jak tego oczekiwał E. Był zawiedziony i nie krył rozczarowania. Pili wino w milczeniu. Howard ożywił się dopiero wtedy, gdy konferansjer zapowiedział występ Adrianny. Słyszał już o niej i pragnął ją zobaczyć.

— Ładna? — spytał szeptem agenta.

— Świetna! Zresztą niech pan spojrzy...

Howard E. odwrócił głowę. W różnobarwnym świetle reflektorów stała teraz przed nim wspaniale zbudowana dziewczyna o niezwyklej urodzie. Serce zabiło mu gwałtownie. Uśmiechnął się do niej i w odpowiedzi także otrzymał uśmiech. To przeważyło szalę. Za wszelką cenę postanowił ją zdobyć. Po skończonym występie przesłał do garderoby tancerki olbrzymi kosz kwiatów wraz z biletem wizytowym, na którym skreślił słowa uznania i zachwytu dla jej urody i talentu. Poprosił ją także o spotkanie, zapowiadając swoje odwiedziny następnego dnia wieczorem w garderobie.

Adrianna zgodziła się bez wahania. Wiedziała, kim był ten, od którego otrzymała kwiaty — wywiad wewnętrzny w lokalach rozrywkowych działa zwykle bez zarzutu — a przy tym wysoki i pręystojny cudzoziemiec zainteresował ją naprawdę. Dalszy rozwój wypadków potoczył się więc tak jak w przeciętnej powieści szpiegowskiej.

Umacnianiu się znajomości i rozwojowi flirtu towarzyszyły kwiaty, wystawne kolacje i bogate precjoza, których wartość musiała wywrzeć wrażenie nawet na przyzwyczajonej już do takich objawów hołdu Adriannie.

Nie dziwny się więc, że flirt bardzo szybko przekształcił się w romans. Howard E. znalazł w Adriannie nie tylko kochankę, lecz i swoją przyszlą agentkę.

Podczas pewnej spędzonej wspólnie nocy w apartamentach Howarda w hotelu „Athene-Palast” Adrianna opowiedziała mu historię swojego życia. Rodzina jej była zbliżona do rumuńskich kół dworskich. Matka była Francuzką. Natomiast ojciec, Michał P., był rodzonym bratem pani Lupescu, pierwszej żony króla Rumunii — Karola. Większą część swego bujnego życia, obfitującego w niezwyczajne przygody, spędził on w Paryżu i Monte Carlo, gdzie grą w ruletkę i bakarata roztrwonił prawie cały swój majątek. Matka odumarała ją w dzieciństwie. Ojciec prawie zupełnie nie interesował się córką, pochłonięty zawsze swoimi wyimaginowanymi interesami i podbojami miłosnymi, w których przejawiał pasję kolekcjonera.

Howard E. z zainteresowaniem słuchał opowieści Adrianny. W jego umyśle rodził się z wolna plan wykorzystania jej do pracy szpiegowskiej. Kobieta z charakterem i usposobieniem Adrianny, z jej inteligencją i sprytem wspaniale nadawała się do tego celu. Posiadając szerokie znajomości wśród wojskowych, polityków i dyplomatów oraz wyższych urzędników państwowych, spośród których rekrutowali się jej byli kochankowie, Adrianna mogła bez większego trudu zdobywać informacje o sprawach interesujących wywiad amerykański.

E. postanowił pomówić z nią o tym przy najbliższej sposobności. Chwila taka wkrótce nadeszła. Oboje jedli kolację w restauracji „Kaiserhof”, gdzie zwykle wieczorami zbierali się cudzoziemcy, wśród których nie brakło oczywiście tajnych agentów. Howard zrećnicie naprowadził rozmowę na ten temat, rozwodząc się szeroko nad blaskami szpiegowskiego zawodu. Ku jego zdumieniu i zaskoczeniu

Adrianna oświadczyła nieoczekiwanie, że od dawna myślała o pracy w wywiadzie i że nie została dotąd szpiegiem tylko dlatego, iż nikt nie uczynił jej odpowiedniej propozycji. Wyglądało to na sztytą grubymi nićmi prowokację, lecz mimo to Howard E. postanowił ciągnąć grę do końca.

Stwierdził, że jest rezydentem amerykańskiego wywiadu, i zaproponował jej przystąpienie do współpracy.

Adrianna została szpiegiem. Jej największym wyczynem szpiegowskim na terytorium Węgier było zdobycie informacji o tajnych pertraktacjach między Niemcami a rządem Horthy'ego, które poprzedziły przystąpienie Węgier do tzw. „paktu trzech” i wojny u boku Niemiec. Kontrwywiad węgierski już w połowie 1940 roku podejrzewał wprawdzie tancerkę o współpracę z jakimś obcym wywiadem działającym na szkodę Węgier, Rumunii i III Rzeszy, niczego jednak nie można jej było udowodnić i po pewnym czasie śledztwo w tej sprawie utknęło na martwym punkcie. Adrianna była zbyt inteligentna i sprytna, aby dać się złapać na gorącym uczynku.

Działała także w Rumunii, gdzie ze względu na swoje powiązania rodzinne miała ułatwione zadanie. Dzięki znajomościom z czołowymi działaczami ugrupowań faszystowskich w tym kraju mogła w odpowiednim czasie poinformować Howarda E. o planowanym przez faszystów zamachu i przejęciu przez nich władzy w kraju. Wiadomość ta pozwoliła Amerykanom zabezpieczyć swoje udziały w rumuńskim przemyśle naftowym.

Etap sofijski

W październiku 1940 roku, po wkroczeniu do Rumunii oddziałów niemieckich i przejęciu władzy w tym kraju przez proniemiecki rząd generała Iona Antonescu, Ho-

ward E. opuścił wraz z Adrianną Budapeszt udając się do Bułgarii. Podróż przez Rumunię odbyła się bez żadnych przeszkód, ponieważ Stany Zjednoczone utrzymywały jeszcze wtedy dyplomatyczne stosunki z Niemcami, a Howard zaopatrzył Adriannę w doskonale dokumenty.

Po przybyciu do Sofii wynajął swojej kochance i agentce luksusowy apartament w hotelu „Bułgaria”, który obecnie zresztą nosi tę samą nazwę, a sam zajął się znów sprawami nie mającymi nic wspólnego z działalnością dyplomatyczną.

Z cichego gabinetu w gmachu ambasady USA kierował teraz licznymi siatkami szpiegowskimi, które zorganizował w krajach bałkańskich, na Węgrzech, w Rumunii i Słowacji. Najdłuższe nici jego organizacji wywiadowczej sięgały nawet do Warszawy i Krakowa. Szefem placówki warszawskiej był pewien Czech, inżynier zatrudniony w niemieckim przemyśle zbrojeniowym, który wraz z rodziną mieszkał w pięknej willi przy ulicy Słonecznej w Świdrze. W tej miejscowości podwarszawskiej ukryta była także radiostacja jego placówki, która utrzymywała bezpośrednią łączność z ambasadą amerykańską w Sofii.

Wywiad amerykański interesował się w tym czasie koncentracją wojsk niemieckich w Polsce oraz rozbudową rumuńskiego zagłębia naftowego w Ploeszti, które pokrywało prawie w osiemdziesięciu procentach zapotrzebowanie armii niemieckiej na smary i materiały pędne. Stany Zjednoczone nie były wtedy jeszcze zaangażowane w konflikt wojenny po stronie aliantów, lecz mimo to agenci Howarda otrzymali polecenie dokonywania na tych terenach akcji sabotażowych i dywersyjnych celem paraliżowania niemieckiego potencjału wojennego. Zbierali oni także aktualne informacje o stanie wydobycia ropy nafto-

wej, budowie nowych urzędów, zbiorników, rafinerii itp. Materiały te posłużyły potem do opracowania planu bombardowań Ploeszti przez amerykańskie i brytyjskie lotnictwo bombowe.

Adrianna na polecenie Howarda E. dwukrotnie wyjeżdżała do Budapesztu w bliżej nie ustalonych tajnych misjach. Prawdopodobnie pełniła w tym czasie obowiązki kuriera i zadanie jej polegało na przewożeniu przez granicę materiałów szpiegowskich i mikrofilmów. Wiadomo także, że kilkakrotnie spotykała się z agentami siatki Howarda E. w mieszkaniu konspiracyjnym znajdującym się w małej, uroczej willi z zielonymi okiennicami w pobliżu słynnego bukareszteńskiego pomnika lotnika.

Jej ostatni pobyt w mieście trwał nieco dłużej. Adrianna nawiązała wtedy za zgodą Howarda romans z pułkownikiem rumuńskiego sztabu generalnego Witem Batreanu, który zajmował odpowiedzialne stanowisko w wydziale operacyjnym sztabu generalnego. Zakochany Rumun nie krył zupełnie przed Adrianną ważnych tajemnic wojskowych i politycznych, nie przypuszczając, że jego kochanka jest groźnym i niebezpiecznym szpiegiem. Batreanu powiedział jej w zaufaniu o przygotowywanym w głębokiej tajemnicy ataku na Związek Radziecki, w którym obok armii niemieckich miały także uczestniczyć wojska węgierskie i rumuńskie.

Była to niesłychanie ważna wiadomość, zważywszy, że Adrianna uzyskała ją na kilka miesięcy przed atakiem.

Po powrocie do Sofii Adrianna przeniosła się z hotelu do małej, lecz komfortowo urządzonej willi w pobliżu parku miejskiego. Udzielony jej przez kochanka i szefa urlop wypoczynkowy, podczas którego odbywała dalekie wycieczki w okolice Sofii, nie trwał zbyt długo. Wkrótce bowiem Howard wysłał ją z nowym zadaniem wywiadow-

czym do Jugosławii, gdzie na pograniczu albańskim, w małej wiosce położonej nad brzegami jeziora Ochryda, miała się spotkać ze starym i wytrawnym agentem wywiadu amerykańskiego, który od wielu lat trudnił się wywiadem przeciwko Włochom. „Sebe” poinformował Adriannę o włoskich przygotowaniach wojskowych na pograniczu greckim oraz dostarczył jej fotokopie planów fortyfikacji włoskich w tym kraju, po czym zniknął, obiecując powrócić za kilka dni z ważnymi materiałami. W oczekiwaniu na jego powrót Adrianna odbywała dalekie wędrówki wzdłuż brzegów jeziora, podziwiając piękno krajobrazu.

Podczas jednego z takich spacerów zetknęła się przypadkowo z albańskim dziennikarzem Dielo, pięknym mężczyzną o niepospolitej odwadze i inteligencji.

Wśród dzikiej, górskiej przyrody nawiązał się między nimi pełen namiętności romans. Idylla trwała jednak zbyt krótko, aby mogło narodzić się bardziej trwałe uczucie. Adrianna była zbyt doświadczonym szpiegiem, aby nie zdawać sobie sprawy, czym groziło niewykonanie zadania. Przełożeni są zwykle bezlitośni w takich wypadkach. Wywiady nie uznają żadnych sentymentów. Pewnej deszczowej nocy tancerka niepostrzeżenie opuściła wioskę udając się w powrotną drogę do Sofii.

Adrianna nie wiedziała oczywiście, że Dielo od dawna był agentem niemieckiego wywiadu, wysłanym specjalnie w te okolice z zadaniem ścisłego inwigilowania jej osoby. Pewien człowiek bowiem, kierujący z Budapesztu niemiecką siatką szpiegowską w krajach bałkańskich, od pewnego czasu bacznie ją śledził.

W stolicy Bułgarii czekały na nią poważne kłopoty, które wkrótce w znacznym stopniu zaważyły na jej dalszym życiu. Ulegając naciskowi Niemców, którym nieobca była szpiegowska działalność Howarda E., rząd bułgarski

cara Borysa uznał go za persona non grata i polecił w ciągu kilku dni opuścić granice kraju. Amerykaninowi nie pozostawało więc nic innego, jak spakować manatki i wyjechać do Turcji zabierając oczywiście Adriannę. Przeszmuglowanie jej przez dobrze strzeżoną granicę turecką nie było rzeczą łatwą, lecz Howard E. ufał, że przy odrobinie powodzenia uda mu się szczęśliwie pokonać wszystkie trudności. Zaopatrzył ją więc w paszport dyplomatyczny, zatrudniając jednocześnie na okres kilku dni w ambasadzie, aby całą sprawę przynajmniej w jakimś stopniu zalegalizować. Falszerstwo to zostało jednak wykryte. Nie pomogły łzy Adrianny ani groźby Howarda E. Turcy byli nieustępliwi i kochankowie musieli się rozłączyć. Howard klnąc na czym świat stoi udał się w dalszą podróż do Ankary, Adrianna zaś musiała powrócić do Budapesztu. Rozstając się para kochanków nie wiedziała, że wydarzenie na granicy zostało po prostu sprytnie zaaranżowane przez wywiad niemiecki, który za wszelką cenę postanowił złować Adriannę w swoje sieci.

Po powrocie do stolicy Węgier Adrianna zaczęła ponownie występować w „Papagallo”, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń. W jej sytuacji jedyną rozsądną rzeczą było zachowanie spokoju i cierpliwości w nadziei, że zerwany z Howardem E. kontakt prędzej czy później zostanie ponownie nawiązany. Jednakże czas upływał, a nikt się do niej nie zgłaszał. Adrianna zaczęła się niepokoić. Występy jej tak jak dawniej cieszyły się wielkim powodzeniem, lecz nie dawało to już jej zadowolenia. Narkotyk szpiegostwa działał. Tancerka tęskniła do życia pełnego emocji i niebezpieczeństw. Wszystko wskazywało jednak na to, że wypadła z obiegu i że wywiad amerykański zupełnie zrezygnował z jej usług. W rzeczywistości sprawa wyglądała inaczej. Howard E. po przybyciu do Ankary robił

wszystko, co tylko było w jego mocy, aby uzyskać zgodę nieustępliwych Turków na przekroczenie granicy przez Adriannę.

A jednak Turcja

Od powrotu tancerki do Budapesztu upłynęło już kilka miesięcy, gdy pewnego wieczoru ktoś energicznie zapukał do drzwi garderoby. Drzwi uchyliły się lekko i do wnętrza wśliznął się zręcznie wysoki, barczysty blondyn.

— Pragnąłbym pomówić z panią w bardzo ważnej sprawie — oświadczył na wstępie. — Może zatem uda się pani ze mną tam, gdzie będziemy mogli pomówić bez świadków?

Adrianna zrozumiała natychmiast, że nie była to prośba, lecz rozkaz, któremu nie należało się przeciwstawiać. Nie wiedziała, kim był nieznajomy, lecz instynktownie czuła, że zaczyna się w jej życiu nowa, niebezpieczna i pociągająca gra, warta każdego ryzyka.

W pobliżu „Papagallo”, w bocznej ulicy, oczekiwał na nich samochód. Nieznajomy polecił jej usiąść na przednim siedzeniu z tej strony, gdzie drzwi były zamknięte na klucz, co uniemożliwiało ucieczkę, a sam usiadł przy kierownicy. Maszyna pomknęła ulicami miasta, aby po kilku minutach szaleńczej jazdy zatrzymać się z piskiem hamulców pod hotelem „Athene-Palast”, w którym niegdyś Adrianna spędziła swoją pierwszą noc z Howardem E.

Nieznajomy odwrócił głowę w stronę tancerki.

— Po wyjściu z samochodu — rzekł — wejdzie pani do hallu i uda się prosto do pokoju 120 na pierwszym piętrze. Drzwi są otwarte. Oczywiście, zachowa się pani zupełnie

naturalnie, jakby chodziło o zwykłą wizytę. Będę szedł za panią. Proszę także nie próbować żadnych sztuczek...

Adrianna wiedziała, że nieznajomy nie żartuje. Sprawa zaczynała przybierać poważny obrót. Bez słowa sprzeciwu i wahania wykonała wszystkie polecenia.

W pokoju, do którego weszła, stał stół z przygotowaną kolacją i kilkoma butelkami doskonałego wina. Widok ten, tak niespodziewany w tej chwili, zaskoczył Adriannę.

— Co to ma znaczyć? — spytała.

— Za chwilę dowie się pani wszystkiego — rzekł mężczyzna zamykając dokładnie drzwi. Skłonił się lekko, wyraźnie ubawiony jej zachowaniem.

— Pani pozwoli, że się przedstawię — powiedział. — Jestem Straub. Sturmbahnführer Otto Straub z wywiadu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, który pragnie pomówić z panią w cztery oczy o sprawach posiadających dla nas dwojga pewne znaczenie.

A więc to było to. Wywiad niemiecki miał ją teraz w swym ręku. Po kolacji Straub odkrył karty.

Przede wszystkim przekazał jej pozdrowienia od Diela, dając jej tym samym do zrozumienia, że był on agentem niemieckim, i spytał, czy Adrianna nie zgodziłaby się pracować dla nich. Wywiad niemiecki obserwował ją od dłuższego czasu i wiedział, że pracowała dla Amerykanów, lecz nie aresztował jej, ponieważ pragnął zaoferować znacznie bardziej korzystną pracę.

— Otrzyma pani od nas tyle pieniędzy, że stanie się pani jedną z najbogatszych kobiet na świecie — rzekł Straub. — Proszę nie sądzić, że nie potrafimy ocenić oddanych nam usług.

Nowe zadania Adrianny były niezwykle emocjonujące. Po przyjeździe do Turcji i połączeniu się z Howardem E.

kontynuując współpracę z wywiadem amerykańskim miała w rzeczywistości prowadzić działalność szpiegowską na rzecz Niemiec. W Turcji powinna była także spotkać się z Dielem, który przebywał już od pewnego czasu w tym kraju w ważnej misji szpiegowskiej.

Tym razem przerzut Adrianny do Turcji odbył się bez żadnych przeszkód. Oba kraje, Niemcy i Turcję, łączyły jeszcze w tym czasie bardzo dobre stosunki i gdy wywiad niemiecki za pośrednictwem ambasadora III Rzeszy w Ankarze, Franza von Papena, zażądał od władz tureckich przepuszczenia agentki, nie robiły one żadnych trudności.

W Konstantynopolu oczekiwał na nią Dielo, który pełnił w tym czasie obowiązki pokojowca jednego z wyższych urzędników ambasady niemieckiej. Adrianna nie wiedziała jeszcze wtedy, że czołowe osobistości III Rzeszy poświęcały znacznie więcej uwagi szpiegowaniu swoich współpracowników niż działalności wywiadowczej przeciwko mocarstwom sojuszniczym.

Kaltenbrunner nie miał zaufania do von Papena podejrzewając go o rzekome konszachty z Anglikami, co zresztą nie było pozbawione prawdy. Rozkazał budapeszteńskiej placówce RSHA, na czele której stał Straub, skierować do Ankary zaufanego agenta, którego zadaniem byłaby obserwacja wszystkich poczynąń ambasadora. Wybór padł na Diela. Wyjechał do Ankary i objął wakującą posadę lokaja u jednego z bliskich współpracowników von Papena. O jego podwójnej roli nie wiedział wtedy nawet Sturmbahnführer L. Moyzich, kierownik ekspozytury wywiadowczej SD* przy ambasadzie niemieckiej w Turcji.

Adrianna spędziła z Dielem, który otrzymał od swego

* Sicherheitsdienst — Służba Bezpieczeństwa III Rzeszy (przyp. aut.).

pracodawcy krótki urlop, kilka uroczych dni w Konstantynopolu wypełnionych wędrownkami po mieście, zwiedzaniem zabytków i przejażdżkami łodzią po wodach Złotego Rogu. Czas mijał szybko i trzeba było jechać w dalszą podróż do Ankary, gdzie z niecierpliwością oczekiwał na nią Howard E. Stary agent bez namysłu, postępując wbrew przyjętym zasadom wywiadowczym, zalecającym przebycie specjalnej kwarantanny, wtajemniczył ją we wszystkie tajniki swojej działalności wywiadowczej na terytorium Turcji. Uzyskane od niego przez Adriannę informacje umożliwiły wywiadowi RSHA przeprowadzenie operacji „Cicero”, w której Dielo odegrał główną rolę. Howard E. opowiedział jej mianowicie o kłopotach, jakie miał ambasador brytyjski sir Hughe Knatchbull-Hughessen ze znalezieniem odpowiedniego lokaja znającego język angielski. Adrianna zorientowała się błyskawicznie, jakie korzyści mógł wyciągnąć z tego faktu, przy zręcznym rozegraniu sprawy, wywiad niemiecki i poinformowała o tym swoich zwierzchników.

Ci nie pokpili sprawy. Podsunęta sprytnie ambasadorowi kandydatura Diela została przyjęta. Albańczyk uzyskał pracę lokaja i w ten sposób Niemcy mieli możliwość zdobywania wszystkich tajemnic ambasady brytyjskiej.

Jednakże Berlin nie od razu otrzymał oczekiwane informacje. Dyplomata brytyjski był wzorem ostrożności, trzymał język za zębami, nigdy nie wyrzucał brudnopisów do kosza, a klucze od szafy pancерnej nosił stale przy sobie. Niemcom zaś bardzo zależało na informacjach z „pierwszej ręki”, ponieważ od pewnego czasu oczekiwali inwazji aliantów na kontynent europejski.

Dielo zaś nie dawał o sobie przez dłuższy czas żadnego znaku życia.

Ostatnia misja Adrianny

Kiedy wreszcie Moyzich poinformował Berlin, że Dielo może dostarczyć fotokopie tajnych dokumentów, znajdujących się w szafie pancерnej brytyjskiego ambasadora, szefowie RSHA potraktowali tę wiadomość ze zrozumiałą nieufnością. Treść meldunku była zbyt fantastyczna i olśniewająca, aby można było bez zastrzeżeń dać jej wiarę. Jednakże zaprzepaszczenie takiej szansy byłoby przestępstwem. Dielo za dostarczenie materiałów zażądał nieoczekiwanie olbrzymiej sumy 300 tysięcy funtów szterlingów. Wywiad niemiecki, który pertraktował z Dielm za pośrednictwem Moyzicha, postanowił zlecić Adriannie ważne zadanie: sprawdzenie wiarygodności materiałów Diela.

Kaltenbrunnera interesowała przede wszystkim wiadomość o mającym się odbyć wkrótce spotkaniu mężów stanu mocarstw alianckich. Pierwszą informację w tej sprawie, potwierdzoną przez Diela, otrzymała Abwehra od pewnego agenta w Anglii za pośrednictwem swojej placówki w Lizbonie. Kaltenbrunner i Schellenberg zażądali od Strauba szybkiego sprawdzenia informacji przez inne źródła agenturalne, które mogłyby także meldować na bieżąco Berlinowi o przebiegu tego spotkania. Straub bez namysłu wyznaczył do tej roli Adriannę, ponieważ Howard E. miał wejść w skład osób towarzyszących prezydentowi Rooseveltowi na konferencję w Teheranie.

Wiadomości, jakie RSHA otrzymał od swojej agentki, przesyły wszystkie oczekiwania. Adrianna donosiła o stanowisku Churchilla, który oponował przeciwko podjęciu operacji inwazyjnej w północnej Francji, obstając przy wykonaniu desantu na Bałkanach wbrew stanowisku ZSRR. Inne informacje były również ważne, ponieważ donosiły o poważnych rozbieżnościach poglądów w łonie

wielkiej trójki. Niemcy łudzili się, że uda im się doprowadzić do rozbicia aliansu.

Adrianna zażądała za te wiadomości 200 tysięcy funtów szterlingów i otrzymała je natychmiast. Skwapliwość Niemców w wydatkowaniu tak olbrzymiej sumy wydała jej się jednak podejrzana, niezwłocznie więc zakupiła akcje pewnego towarzystwa przemysłowego z neutralnego kraju, wymieniając pozostałą niewielką część pieniędzy na inną walutę. Dzięki temu uratowała fortunę zdobytą na szpiegowskim procederze.

Agent, który dostarczył jej ową sumę, stwierdził potem podczas przesłuchania w RSHA, że tego dnia tancerka była niezwykle ożywiona i zadowolona. Widocznie już wtedy miała gotowy plan ucieczki i zamierzała go właśnie wprowadzić w życie. Wywiad niemiecki nie otrzymał już od niej żadnych informacji. Aż do zakończenia wojny nie udało się jej odszukać, chociaż nie tylko wywiad niemiecki, lecz i Howard E., i Dielo czynili wysiłki, aby trafić na jej ślad. Wpadła jak kamień w wodę.

Dopiero kilka lat temu dowiedziano się przypadkowo, że Adrianna z pewnym młodym oficerem armii amerykańskiej, który dla niej popełnił dezercję, zbiegła do Argentyny, gdzie żyje do dziś.

„DALEKI SKOK“

W połowie października 1943 roku, na dwa miesiące przed konferencją teherańską, w głównej kwaterze Hitlera w Prusach Wschodnich odbyła się ściśle tajna narada sztabowa z udziałem czołowych osobistości hitlerowskiego wywiadu. Została ona zwołana na osobisty rozkaz fűhrera w związku z pewnym nadzwyczaj ważnym meldunkiem nadesłanym z Lizbony przez tamtejszą placówkę Abwehry.

Treść meldunku zelektryzowała koła rządowe III Rzeszy, budząc w otoczeniu Hitlera nowe nadzieje na zwycięstwo nad aliantami

s/s „Maria Luisa“

Wczesnym rankiem 10 października 1943 roku dwa pę-kate holowniki wprowadziły do portu w Lizbonie niewielki drobnicowiec o dźwięcznej nazwie „Maria-Luisa”. Był to stary i wysłużony tramp, którego charakterystyczna sylwetka o nieproporcjonalnie wysokim kominie, niskich, białych nadbudówkach i czarnym kadłubie, pokrytym rudymi plamami rdzy, znana była na wielu morzach świata. W latach wojny, przed udaniem się na dobrze zasłużony odpoczynek w doku i pocięciem na złom, utrzy-

mywał on pod neutralną flagą portugalską żeglugę trampową między Lizboną a portami Irlandii, przewożąc pasażerów i ładunki masowe. Pojawienie się w czasie wojny „Marii-Luisy” na redach portów wywoływało zawsze sensację wśród dokerów i marynarzy. Ludzie, którzy przypadkowo byli świadkami wyjścia starego trampa w kolejny rejs, nie żywili zbyt wielkich nadziei, że ujrzą go jeszcze kiedykolwiek; byli przekonani, że znajdzie on wreszcie swój grób na dnie oceanu.

Nie były to płonne obawy. Atlantyk był wtedy widownią dramatycznych zmagania między morskimi siłami Niemiec i aliantów. Pomimo stale rosnących strat wilcze stada U-bootów nadal polowały na kanoje i pojedyncze statki alianckie zdążające ze sprzętem wojennym z USA do portów brytyjskich i radzieckich.

Nad wzburzoną powierzchnią oceanu przetaczał się nie milknący łoskot dział, eksplozje torped; głuche wybuchy bomb głębinowych wstrząsały powietrzem. Ginęli ludzie, tonęły statki i okręty.

Ponura, zawsze milcząca załoga starego trampa, jakby żywcem wyjęta z kart awanturniczych powieści morskich, niewiele sobie robiła z tych wszystkich niebezpieczeństw, wierząc niezachwianie w swoją szczęśliwą gwiazdę. I „Maria-Luisa” istotnie nigdy nie była atakowana przez niemieckie okręty podwodne, które na rozkaz Hitlera nie szczędziły statków neutralnych, chociaż niejednokrotnie znajdowała się u wylotu ich torpedowych wyrzutni. Tajemnica „nietykalności” statku znana była tylko nielicznym oficerom z central wywiadowczych Abwehry i Intelligence Service. Był to jeden z tych niezwykłych paradoksów zrodzonych przez ubiegłą wojnę. Oto bowiem wywiady niemiecki i brytyjski, respektując nawzajem swoje interesy, wykorzystywały „Marię-Luisę” do różnych

tajemniczych celów, o których milczą najtajniejsze archiwa wywiadowcze. Wiadomo tylko, że wśród nielicznych zresztą pasażerów statku kryli się często agenci brytyjskiego wywiadu, którzy następnie z Portugalii, sobie tylko znanymi drogami przez Hiszpanię i Pireneje, przedzierali się do Niemiec i petainowskiej Francji.

Podobną podróż, tylko w przeciwnym kierunku, odbywali przez Atlantyk szpiedzy niemieccy. Po przybyciu do Irlandii przekradali się na północ tego kraju, skąd, jeśli im się udało wyprowadzić w pole kontrwywiad brytyjski, stosunkowo łatwo można się było przedostać do Anglii.

Burząc wodę leniwymi obrotami śruby „Maria-Luisa” wolno zbliżała się do nabrzeża. Wreszcie rzucono cumy. Statek dobił do kei. Wśród podróżnych, którzy opuścili jego pokład, znajdował się inżynier brytyjski James W. delegowany do Lizbony w sprawach służbowych przez pewną firmę angielską trudniącą się importem i eksportem cennych kopalin i surowców naturalnych. Oficerowie z portowej placówki III wydziału SIM — portugalskiego kontrwywiadu wojskowego, sprawdzając paszporty podróżnych, stwierdzili, że dokumenty osobiste W. znajdują się w najlepszym porządku i są zaopatrzone we wszystkie niezbędne autentyczne pieczęcie władz portugalskich. Nie czyniono mu więc żadnych trudności z zejściem na ląd, chociaż oficerowie SIM byli przekonani, że jest on agentem brytyjskiego wywiadu. Na szczęście dla Jamesa W. nie przypuszczali oni, że w tym czasie kontrwywiad brytyjski gotów był za jego głowę ofiarować każdą żadaną sumę. W posiadaniu W. znajdowały się bowiem fotokopie tajnych dokumentów alianckich wykradzionych przez agentów Abwehry z safesów brytyjskiego Ministerstwa Wojny. Materiały te miały być przekazane przez Jamesa W. lizbońskiej placówce niemieckiego wywiadu.

Brunatna pajęczyna

Następnego dnia James W. udał się do ekskluzywnego nocnego lokalu „Elida Night Club”, gdzie zbierała się zwykle śmietanka miejscowej society. Zajął stolik ukryty w małej niszy, skąd mógł doskonale obserwować całe wnętrze, i zamówił napoje chłodzące. Na zaczepki kręcących się girls odpowiadał przeczącym ruchem dłoni. Wkrótce po północy przysiadła się do niego ubrana z wyśzukaną elegancją młoda i ładna dziewczyna. Wzbudzała powszechne zainteresowanie. Jednakże ci, którzy spoglądali na nią z takim zaciekawieniem, nie przypuszczali nawet, że była ona przedmiotem szczególnej uwagi oficerów i agentów MI-5, wydziału kontrwywiadu wojskowego przy Intelligence Service. Polowano już na nią od dłuższego czasu, lecz udawało się jej zawsze w porę uniknąć zasadzki. Talent aktorski, doskonała znajomość zasad charakterystyki i umiejętność przystosowania się do każdego środowiska czyniły ją nieuchwytną. Była to „Marlena” — najlepsza agentka Abwehry w Portugalii. Obecnie miała skontaktować Jamesa W. z pułkownikiem Karsthoffem, który stał na czele placówki niemieckiego wywiadu w Lizbonie. Placówka ta prowadziła działalność szpiegowską przeciwko Wielkiej Brytanii, USA oraz kolonialnym posiadłościom angielskim i francuskim w Afryce.

Szef Abwehry, admirał Canaris, doskonale zdawał sobie sprawę z możliwości wykorzystania terytorium neutralnej Portugalii do celów wywiadowczych na wypadek konfliktu zbrojnego z Anglią. Na jego rozkaz na krótko przed wybuchem wojny został tu zorganizowany specjalny samodzielny ośrodek dyspozycyjny Abwehry, w którego skład weszły dwie sekcje, będące odpowiednikami oddziałów centrali berlińskiej.

Pracami sekcji pierwszej, trudniącej się wyłącznie szpiegostwem, kierował kapitan Franz C., utalentowany, długoletni agent Abwehry, który odegrał czołową rolę w przygotowaniu zamachu na Churchilla i w podejrzanych przetargach z polską „dwójką”.

Na czele sekcji drugiej, zajmującej się sabotażem i dywersją, stał Otto J. Generał Lahousen, były szef II oddziału Abwehry, twierdzi w swoich pamiętnikach, że agenci tej sekcji spowodowali m. in. katastrofę gibraltarską, w której poniósł śmierć generał Sikorski.

Od dłuższego czasu pracom placówki lisbońskiej nieodłącznie towarzyszył pech i na głowę pułkownika Karsthoffa sypały się gromy z Oberkommando der Wehrmacht i centrali Abwehry. Listę niepowodzeń otwierał nieudany zamach na Churchilla, który niemal nie spowodował dymisji pułkownika. Wprawdzie na polecenie Abwehry specjalna grupa Luftwaffe, oznaczona kryptonimem „KG-42”, pod dowództwem pułkownika Roberta Kowalewskiego zestrzeliła nad Zatoką Biskajską samolot komunikacyjny holenderskich linii lotniczych PH-ALI „Ibis”, lecz jak się wkrótce okazało, wśród zabitych trzynastu pasażerów i czterech osób załogi nie było brytyjskiego premiera. Zginął natomiast znany aktor Leslie Howard, tajny agent Intelligence Service, którego Goebbels uważał za swojego osobistego wroga. Ośłodziło to nieco Niemcom gorycz porażki. Nie na długo jednak. Wkrótce bowiem kontrwywiad brytyjski schwycił na terytorium Anglii i północnej Irlandii kilkunastu szpiegów niemieckich, odcinając lisbońską placówkę Abwehry od wielu źródeł informacyjnych. Ocalała tylko niewielka liczebnie, ściśle zakonspirowana grupa agentów, działająca w urzędach i sztabach alianckich.

Karsthoff i Franz C. liczyli bardzo na pracę tej sieci. To jej dziełem było zdobycie tekstu listu Churchilla do

Stalina z dnia 19 czerwca 1943 roku, dotyczącego zwołania konferencji trzech mężów stanu w Scapa Flow na terytorium Anglii.

W oparciu o tę wiadomość wywiad niemiecki na polecenie Hitlera rozpoczął przygotowania do wielkiej akcji dywersyjnej, która jednakże spaliła na panewce, zanim jeszcze wkroczyła w stadium realizacji. Oto bowiem następny meldunek nadesłany przez siatkę szpiegowską donosił, że Stalin nie zgodził się z sugestiami Churchilla, pozostawiając sprawę miejsca zwołania przyszłej konferencji nadal otwartą. Na wieść o tym wściekłość Hitlera nie miała granic. Wezwał do siebie admirała Canarisa i zgromił ostro za nieudolność Abwehry, grożąc rozwiązaniem wojskowej służby wywiadowczej i przekazaniem jej kompetencji — RSHA.

Cała sprawa odbiła się oczywiście rikoszetem na Karsthoffie, któremu admirał polecił uzyskać w krótkim czasie wyczerpujące dane o dacie i miejscu konferencji alianckiej.

Jednakże informacji tych nie udało się zebrać w przewidzianym terminie. Dopiero w pierwszych dniach października radiostacja placówki w Lizbonie przyjęła szyfrogram radiowy od tej grupy, zawiadamiający o wyjeździe z Irlandii specjalnego kuriera z mikrofilmami tajnych dokumentów dotyczących konferencji wielkiej trójki.

Karsthoff oczekiwał Jamesa W. w małej podmiejskiej willi, w której mieścił się zakonspirowany punkt kontaktowy Abwehry. „Marlena” gdzieś zniknęła. Zostali sami.

— Cieszę się, że pana widzę, Herr Schmutz — rzekł pułkownik, wylewnie ściskając dłoń gościa. — O ile wiem, przywozi nam pan bardzo pomyślne wiadomości...

James W. przytaknął. Ukryta przemyślnie niewielka rolka mikrofilmu, którą z narażeniem życia udało mu się

przewieźć z Anglii, zawierała fotokopię niezwykle ważnego listu Churchilla do Stalina w sprawie zwołania jesienią tego roku konferencji alianckiej w Teheranie. Została ona wykonana przez ściśle zakonspirowanego agenta Abwehry o pseudonimie „Bert”, który miał dostęp do gabinetu i sekretariatu premiera. Pomimo wysiłków MI-5 osoba tego człowieka nie została nigdy ujawniona, sposób zdobycia listu pozostanie zapewne na zawsze tajemnicą. Zagadnięty w tej sprawie po wojnie pułkownik Karsthoff odmówił odpowiedzi stwierdzając tylko, że człowiek ten, żyjący po dziś dzień w Anglii, zajmował w czasie wojny niezwykle ważne i eksponowane stanowisko.

Zdobyty list miał dla Abwehry nieocenioną wartość, ponieważ zawierał także informację, że w najbliższym czasie Anglicy rozpoczną fałszywe przygotowania do konferencji w Kairze, mające na celu wprowadzenie w błąd hitlerowskiego wywiadu. Churchill podawał również do wiadomości Stalina wykaz kryptonimów, którymi odtąd miano się posługiwać w korespondencji dotyczącej planów alianckich związanych z tą sprawą. Fałszywa konferencja w Kairze otrzymała kryptonim „Kair-3”, natomiast konferencję teherańską oznaczono szyfrem „Eureka”.

Pułkownik Karsthoff nie posiadał się z radości. Tym razem lizbońska placówka Abwehry mogła zapisać na swoje konto wspaniałe osiągnięcie. Niemcy uzyskali olbrzymi atut w walce przeciw aliantom.

Operacja „Daleki Skok”

Meldunek lizbońskiej placówki Abwehry, który dotarł do rąk Hitlera w połowie października 1943 roku, obudził wśród czołowych osobistości III Rzeszy nowe nadzieje na

zwycięstwo. Sztab hitlerowski zdawał już sobie w tym czasie sprawę, że ostatnie porażki militarne Niemiec są preludium nieuchronnej klęski. Hitler wierzył jeszcze w zwycięstwo, łudząc się ciągle, że uda mu się pokonać aliantów za pomocą nowych tajemniczych broni, nad którymi gorączkowo pracowali uczeni niemieccy.

Po otrzymaniu fotokopii listu Churchilla doszedł do wniosku, że udany zamach na życie trzech alianckich mężów stanu może mieć podobny efekt do tego, jakiego oczekiwiał od V-Waffen. Będąc entuzjastycznym wyznawcą poglądu o kształtowaniu historii świata nie przez społeczeństwa, lecz wybitne jednostki, Hitler uważał, że zgładzenie Stalina, Churchilla i Roosevelta sparaliżuje wolę walki narodów alianckich, co pozwoli zadać im decydujący cios militarny.

Powziąwszy tę opaczna w założeniu decyzję, Hitler zwołał natychmiast do swojej kwatery „Wolfschanze” w Prusach Wschodnich tajną naradę z udziałem czołowych osobistości hitlerowskiego wywiadu.

W dużym, niskim bunkrze sztabowym panowała ponura atmosfera. Wokół długiego stołu zarzuconego mapami zasiedli Goering, Himmler, Keitel, Jodl, Canaris, szef RSHA — Kaltenbrunner, szef II oddziału Abwehry — pułkownik von Loringhoven oraz stenograf sztabowy Busch.

Wszyscy z uwagą patrzyli na Hitlera, który wymieniał uwagi z marszałkiem Rzeszy.

— Jeśli Führer zażąda od nas udziału w tej aferze, będę zmuszony odmówić — powiedział cicho Canaris do pułkownika von Loringhove. — Ostatecznie nie mam zamiaru znaleźć się w takiej sytuacji, że nie będę miał przed kim kapitulować...

— Niech pan uważa, Herr Admiral — ostrzegł pułkownik.

Hitler odwrócił się od Goeringa i patrzył teraz prosto w oczy Canarisa. Przez chwilę w bunkrze panowała przykra cisza. Po chwili jednak Führer zaczął mówić, uzasadniając szeroko swoją decyzję dokonania zamachu na życie trzech mężów stanu:

— Alianci mają zamiar zwołać jesienią konferencję w Teheranie, na której zostaną ustalone zasady ich dalszej strategii i polityki wobec III Rzeszy i jej sojuszników. Decydowanie o losie Niemiec bez ich udziału jest przestępstwem wobec historii i naszego wielkiego narodu i za to winni poniosą zasłużoną karę. Nasza akcja wprowadzi rozłam w szeregi nieprzyjaciół. Pozbawione kierownictwa narody Zachodu nie będą dalej prowadziły wojny z III Rzeszą w interesie międzynarodowego żydostwa bolszewizmu, w interesie Roosevelta, Stalina i Churchilla. Opatrzność daje nam szansę, której nie wolno zaprzepaścić. Sytuacja w Iranie sprzyja naszym zamiarom...

Okoliczności rzeczywiście zdawały się sprzyjać zamierzonom Hitlera. Miejsce przyszłej konferencji alianckiej było wybrane niezbyt szczęśliwie. W Iranie nie przebrzmiały jeszcze całkowicie echa potężnej rebelii, rozpętanej przeciwko aliantom przez agentów niemieckiego wywiadu, której celem było odcięcie Wielkiej Brytanii od źródeł ropy naftowej oraz utworzenie z Iraku dogodnej bazy wypadowej do uderzenia od tyłu na Związek Radziecki. Plany te zostały wprawdzie w porę pokrzyżowane przez generała Szacha Bakhti, który przy pomocy oddziałów radzieckich i brytyjskich opanował sytuację, w kraju jednak nadal panował chaos i rozpręgnięcie.

Słabe liczebnie alianckie oddziały okupacyjne nie były w stanie uczynić nic więcej poza osłoną najważniejszych

arterii komunikacyjnych, rafinerii i ważnych punktów strategicznych. W głębi kraju roilo się natomiast nadal od tajnych agentów niemieckiego wywiadu i V kolumny, którzy za pieniądze płynące szerokim strumieniem z Berlina nawoływali do świętej walki przeciwko aliantom.

Opracowanie planu zamachu Hitler początkowo zamierzał powierzyć Abwehrze, jednakże wobec oporu admirała Canarisa przekazał sprawę do realizacji VI — wywiadowczemu urzędowi RSHA.

Gruppenführer Walter Schellenberg, człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, geniusz zła i szpiegostwa, któremu Himmler i Kaltenbrunner powierzyli kierownictwo operacją, z energią zabrał się do dzieła. Po uzyskaniu pomocy od ankarskiej placówki Abwehry, którą kierowali ambasador III Rzeszy w Turcji Fritz von Papen i jego współpracownik kapitan Paul Leverkuehn, w kilka dni po naradzie przedstawił Hitlerowi opracowany plan operacji. Przewidywał on wysłanie do Iranu na kilka dni przed rozpoczęciem konferencji grupy wyszkolonych mordercydywersantów z batalionu Gestapo „Altenburg”*. Na czele tej grupy mieli stanąć dwaj esesmani, Hauptsturmführer Walter Schultze i Sturmführer Willi Mertz, świetnie przeszkoleni w krwawym rzemiośle, uczestnicy kapturowych mordów w czasie „nocy długich noży”. Schultze wstawił się m. in. udziałem w zamordowaniu Roehma i generała Schleichera. Cała sprawa została więc złożona w pewne i godne zaufania ręce. Po połączeniu się z grupą Abwehry przebywającą w górskich kryjówkach Tabrizu oddział dywersantów w przebraniu pasterzy kurdyjskich miał wyruszyć w dalszą drogę do Teheranu. Plan Hitlera znalazł się w stadium realizacji.

* Specjalna jednostka dywersyjna Gestapo wykonująca m. in. mordy kapturowe (przyp. aut.).

Ostatni etap

Pewnego listopadowego dnia 1943 roku na lotnisku wojskowym w Sofii panował podejrzany ruch. Na betonowym runwayu stały jeden za drugim dwa wielkie bombowce Luftwaffe FW-200 „Kondor”. Krzątali się wokół nich żołnierze z obsługi lotniska ładując do komór bombowych zamiast bomb dodatkowe zbiorniki paliwa.

Po zapadnięciu zmierzchu na lotnisko przyjechały trzy samochody ciężarowe. Wyskoczyli z nich dywersanci ustawiając się w szeregu przed maszynami. Po chwili nadjechał duży czarny „Mercedes”, z którego wysiadł Gruppenführer Schellenberg wraz ze swoimi współpracownikami. Gruppenführer z uśmiechem zadowolenia witał się kolejno z agentami.

— Ufam, że uczynicie wszystko, co w waszej mocy — mówił Schellenberg do Waltera Schultze — aby wykonać rozkaz naszego führera. Tylko śmierć naszych największych wrogów może otworzyć nam drogę do urzeczywistnienia idei tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej. Stalin, Roosevelt i Churchill muszą być zgładzeni za wszelką cenę. Heil Hitler!

— Do maszyn! — ryknął Walter Schultze. Jego ludzie sprawnie wykonali zwrot i kolejno zniknęli w otwartych wjazdach. Trzasnęły zamykane drzwi. W ciemne, rozgwieżdżone niebo wolno wzniosła się zielona rakieta. „Kondory” głucho zadudniły silnikami, wolno nabrały szybkość i uniosły się w powietrze biorąc kurs na wschód.

Schellenberg przez chwilę patrzył za nimi, potem wsiadł do maszyny i udał się do szefa placówki SD w Sofii sturmbahnführera Meinike, z którym umówił się na ko-

lację. Przedtem jednak wysłał do centrali RSHA pilny szyfrogram o następującej treści:

REICHSFÜHRER SS HEINRICH HIMMLER. GEHEIME
REICHSSACHE
OPERACJA „DALEKI SKOK” ROZPOCZĘTA.

Podpisano: Schellenberg

Dla sztabu Hitlera i kierownictwa RSHA nastały teraz dni oczekiwania. Najlepszy agent niemiecki na Bliskim Wschodzie — piękna i tajemnicza Adrianna informowała, że szefowie rządów trzech wielkich mocarstw przybyli do Teheranu i zamieszkali w swoich ambasadach. Ale grupa dywersyjna nie dawała żadnego znaku życia. Kierownictwo RSHA nie mogło wiedzieć, że w tym samym czasie, gdy radiotelegrafista sekcji łączności centrali na Prinz Albrecht Platz w Berlinie przyjmował telegram Schellenberga, o kilka tysięcy kilometrów na wschód inny radiotelegrafista odebrał także meldunek związany z operacją „Daleki Skok”.

Radiotelegrafista Igor Krylenko, dyżurując przy aparaturze nadawczo-odbiorczej w centrali radzieckiego wywiadu, odebrał tej nocy pilny szyfrogram z Berlina, którego nadawcą była tajna radiostacja wywiadowcza wchodząca w skład sieci „Gilberta”*. Krylenko przekazał go natychmiast do sekcji szyfrów. W godzinę później na biurku szefa jednego z oddziałów centrali, pułkownika Jegorowa, leżała już odszyfrowana depesza, której tekst brzmiał:

RTP DO SK. „MAX” DO DYREKTORA. PILNE! „ERWIN”
MELDUJE, ŻE PRZYGOTOWYWANY JEST ZAMACH NA
WIELKĄ TRÓJKĘ W TEHERANIE. GRUPA DYWERSYJNA

* Radziecka organizacja wywiadowcza działająca w czasie drugiej wojny światowej na terytorium III Rzeszy i okupowanej Francji (przyp. aut.).

ZOSTAŁA JUŻ PRZERZUCONA SAMOLOTAMI DO TABRIZU.
W ZACHODNIM IRANIE. PRZYPUSZCZALNY TERMIN
ZAMACHU W DWA DNI OD CHWILI ROZPOCZĘCIA KON-
FERENCJI.

Pułkownik Jegorow podszedł do szafy pancernej ukrytej w rogu gabinetu, otworzył ją i sięgnął po książkę kryptonimów agentów działających na terytorium Niemiec. Nadesłany z Berlina szyfrogram zasługiwał na pełne zaufanie. „Erwin” był wyższym oficerem RSHA i od szeregu lat dostarczał wywiadowi radzieckiemu bezcenne wiadomości.

Natychmiast zarządzono alarm i zawiadomiono o próbie zamachu organa kontrwywiadu. W ciągu kilkunastu minut postawiono w stan ostrego pogotowia wszystkie oddziały radzieckie i alianckie znajdujące się na terytorium Iranu. Jednocześnie z lotniska we Wnukowie odleciał do Teheranu wraz z gronem swoich współpracowników pewien generał radziecki, specjalista od wykrywania spisków, z zadaniem schwytania dywersantów żywych lub umarłych.

W wyniku kilkunastodniowej akcji natrafiono na ślad grupy dywersyjnej hauptsturmführera Schultzego i po krótkiej walce wzięto ją do niewoli. Niedoszłych morderców wielkiej trójki spotkał zasłużony los.

Operacja „Daleki Skok” zakończyła się klęską hitlerowskiego wywiadu.

SZEŚĆ RAZY „REBEKA“

Dzisiaj dopiero wiadomo, że kariera szpiegowska Johna Pehlera zaczęła się na krótko przed drugą wojną światową. Był to okres, w którym wywiad hitlerowski przeprowadzał na Bliskim Wschodzie zakrojony na szeroką skalę rekonesans szpiegowski. Kiedy w trzy lata później dywizje Rommela wtargnęły do Afryki Północnej, agenci Abwehry przystąpili do koncentrycznego szturmu na pozycje Anglików.

Pehler urodził się w Zagłębiu Saary, które w rezultacie przegranej przez wilhelmowskie Niemcy wojny znalazło się pod zarządem Ligi Narodów. Jego nienawiść do Anglii wywodzi się właśnie z okresu dzieciństwa. Potem wraz z matką wyjechał do Egiptu i przebywał tam do wybuchu wojny.

Spotkanie w Bejrucie

Był pogodny letni wieczór 1939 roku. Bejrut tonął w morzu światła. Na tarasie małej kawiarni siedział młody człowiek; każdy, kto przyjrzał się bliżej jego twarzy, mógł zauważyć, że wyrażała niezwykle skupienie. Człowiek ten nie odrywał oczu od drzwi, które prowadziły z alei do wnętrza kawiarni. Zapalił papierosa i w momencie, kiedy

gasił zapalną, zauważył wchodzącą kobietę. Miała śniadą cerę i trochę złowrogie oczy. Nazywała się Fatima i codziennie o tej samej porze zjawiała się tu w towarzystwie miejscowych milionerów bądź też wysokich urzędników. Tym razem była sama. Pehler kochał się w niej do szaleństwa. Ale piękna Fatima darzyła go takim uczuciem, jakim darzy właściciel pięknego „Cadillaca” małego obdartusa wpatrzonego z zachwytem w piękną linię karoserii samochodu. Fatima знаła jego stosunek do niej, wiedziała, że czeka na każde jej skinienie.

Zajęła sąsiedni stół. Kiedy zaczęła grać orkiestra, zjawiała się przy jej stole młoda, wytwornie ubrana Europejka. W chwilę później Fatima poprosiła Pehlera, aby przysiadł się do nich.

— Wszyscy jesteśmy właściwie starymi znajomymi — powiedziała — chociaż spotykamy się po raz pierwszy.

Pehler był zaskoczony tym obrotem sprawy, ale nic nie miało dlań znaczenia wobec faktu, że może przebywać w towarzystwie Fatimy. I wówczas, kiedy zaczął przypuszczać, że ma pewne szanse, Fatima szepnęła:

— Zostawię was samych, sądzę, że szybko dojdziecie do porozumienia.

Sytuacja stawała się coraz bardziej niezrozumiała. Upłynęła chwila, zanim siedząca obok kobieta zapytała go po niemiecku:

— Czy w dalszym ciągu nienawidzi pan Anglików?

— Pani jest Niemką? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Tak — odparła — i dlatego chciałabym zaofiarować panu coś, co być może przechodzi pana najśmielsze marzenia. Chciałabym jednak uprzedzić pana, że może nie przyjąć mojej propozycji, ale nie wolno nikomu wspomnieć jednym słowem o tym, co za chwilę zaproponuję.

Pehler zrozumiał.

— Czy chce pan pracować dla Niemców? — zapytała. — Jest bardzo mało ludzi, którzy posiadają pańskie kwalifikacje i dlatego bardzo zależy nam na pańskiej współpracy.

Tego wieczoru John Pehler stał się agentem admirała Canarisa. Kobieta, która w ów letni wieczór zwerbowała go do siatki niemieckiego wywiadu, nazywała się Helga Wolf i w latach drugiej wojny światowej należała do czołówki najbardziej niebezpiecznych wrogów Anglii. W tym czasie montowała na Bliskim Wschodzie pajęczą sieć hitlerowskiego wywiadu.

Zadanie dla Johna Pehlera

W skwarze pustynnego lata 1942 roku pancerne dywizje Rommla dochodziły do El Alamein. Brytyjska VIII Armia goniła resztkami sił i wydawało się, że nie zdoła zatrzymać Niemców na przedpolach Kairu. Od rozpoczęcia ofensywy, która miała zadać VIII Armii śmiertelny cios i oddać w ręce Niemców Kanał Sueski i ropę Arabii Saudyjskiej, dzieliły korpus Rommla dosłownie dni.

Zanim jednak Rommel mógł wydać rozkaz rozpoczęcia ofensywy, musiał posiadać informacje, które można było zdobyć tylko... od samych Anglików. 24 sierpnia w czasie dramatycznej rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadził z kwaterą główną, domagał się posiłków:

— W tej chwili znajdujemy się w wybitnie sprzyjających warunkach, możemy zadać Anglikom cios za najniższą cenę. Być może, iż parę miesięcy później te same efekty militarne będą wymagały dwukrotnie większej siły.

Hitler odparł:

— Nie otrzyma pan ani jednej dywizji. Sam chętnie ściągnąłbym do Rosji jedną dywizję pancerną z pańskiego frontu.

Kilka godzin po tej rozmowie narodził się plan chytrego pojedynku szpiegowskiego. W akcji tej jedną z głównych ról odegrać miał John Pehler.

— Nim przystąpimy do ofensywy, musimy wiedzieć, jak wygląda zaplecze wroga i jakimi dysponuje rezerwami. A przede wszystkim — w tym miejscu Rommel zwrócił się do szefa wywiadu — muszę znać datę i sposób, w jaki Anglicy zamierzają przeprowadzić kontrofensywę.

Kiedy przystąpiono do analizy map, Rommel przyglądał się w skupieniu gęsto rozsianym czerwonym chorągiewkom. Najwięcej czerwonych punktów znajdowało się w delcie Nilu.

Tylko Rommel i jego szef wywiadu wiedzieli, że zadanie, jakie otrzymał Pehler, należało do kategorii tych misji, w których kilku ludzi decydowało o szansach morderczego starcia kilkuset tysięcy walczących. Pehler świetnie znał język angielski i arabski i miał dużo przyjaciół poza liniami wojsk brytyjskich. Od sierpnia 1942 roku był dla kontrwywiadu brytyjskiego wrogiem numer 1, który wtargnął w najbardziej newralgiczny punkt strategii angielskiej.

Szef wywiadu wezwał Pehlera i wydał mu następującej treści polecenie:

— W możliwie najkrótszym czasie powinien pan uzyskać kontakt z oficerami kwatery głównej VIII Armii Brytyjskiej. Za godzinę Ju-52 zabierze pana do Trypolisu, tam zapozna się pan z dalszymi szczegółami wyprawy.

Dwóch mężczyzn ubranych w mundury armii angielskiej zbliżało się do pustynnego posterunku VIII Armii. Byli to John Pehler i jego radiotelegrafista Freburger. Pehler podał się za oficera łącznikowego przy Wolnych Francuzach, Freburger zaś za jednego z oficerów VIII Armii. Komendantowi posterunku oświadczyli, że ich jeep został uszkodzony na pustyni i w związku z tym musieli zawrócić. W małych walizkach mieli osiemdziesiąt tysięcy funtów szterlingów, aparat nadawczo-odbiorczy i jeden egzemplarz książki Daphne du Maurier „Rebeka”. Ponieważ dokumenty obu rzekomych oficerów brytyjskich nie budziły żadnych wątpliwości, komendant posterunku uwierzył w historyjkę o uszkodzeniu jeepa i wydał im przepustkę. W dwie godziny później siedzieli już w pociągu, który wiozł ich do Kairu.

„Kondor woła“

Z chwilą, kiedy Pehler i Freburger zainstalowali się w małym hoteliku w pobliżu budynków kwatery głównej VIII Armii, radiotelegrafista uruchomił stację radionadawczą, a Pehler zajął się pilnie lekturą książki Maurier. W czasie czytania sporządzał notatki. Jego uwaga skoncentrowała się jednak nie na treści książki, ale na poszczególnych słowach. Słowa powieści bowiem stanowiły klucz, za pomocą którego szpiegdy mieli porozumiewać się ze swoją centralą w sztabie Rommla. Nazajutrz wczesnym rankiem Freburger wysłał pierwszy meldunek do kwatery Rommla:

KONDOR WOŁA, BĄDŹCIE GOTOWI.

Potwierdzenie odbioru meldunku otrzymali w ciągu godziny. Łączność została nawiązana.

W październiku 1942 roku nastąpiło pierwsze uderzenie VIII Armii na najbardziej wysuniętą pozycję Rommla. Wśród żołnierzy niemieckich wziętych do niewoli znajdowali się dwaj radiotelegrafiści Merle i Eber, którzy odbierali raporty Pehlera i podawali mu aktualną długość fal. Od tego momentu Pehler nie otrzymywał już żadnych odpowiedzi na wysyłane meldunki. Sztab Rommla zdecydował, że na razie nie będzie się nawiązywało żadnej łączności z Pehlerem. Wraz z Eberem i Merlem wpadły bowiem w ręce Anglików dwa egzemplarze „Rebeki”.

Obawy Niemców nie były pozbawione podstaw. „Rebeką” zainteresowali się oficerowie kontrwywiadu brytyjskiego. Książki przekazano do laboratorium. Na ostatniej stronie okładki stwierdzono zatarcie ceny. Po dłuższych badaniach ustalono, że cena książki podana została w escudo. Natychmiast zawiadomiono Londyn. Londyn wysłał depeszę do brytyjskiej placówki dyplomatycznej w Lizbonie z poleceniem ustalenia nazwiska osoby, która ostatnia kupiła książkę Daphne du Maurier.

Było to przedsięwzięcie ryzykowne, nie dające szans powodzenia. Po kilku dniach otrzymano jednak odpowiedź, która wprawiła w zdumienie ludzi prowadzących śledztwo. Depesza brzmiała:

ODWIEDZONO WSZYSTKIE KSIĘGARNIE W LIZBONIE I PONAD WSZELKĄ WATPLIWOŚĆ USTALONO, ŻE JEDYNE SZEŚĆ EGZEMPLARZY „REBEKI” KUPIŁ W OSTATNIM OKRESIE ATTACHE PRASOWY NIEMIECKIEJ AMBASADY.

Anglicy urządzili Ebertowi i Merlemu małe seminarium na temat współczesnej literatury angielskiej. Nie wypadło ono dla Niemców zbyt dobrze. Sprawa zaczynała przybierać niedwuznaczny charakter.

W tym samym czasie John Pehler przeprowadził mały rekonesans towarzyski na terenie nocnych klubów Kairu. Pierwsze kroki skierował do ekskluzywnego klubu „Kit-Kat”, gdzie słynna Fatima oczarowywała swym tańcem oficerów VIII Armii. Tego wieczoru nikt jeszcze nie dostrzegł czegoś szczególnego w fakcie, że tancerka natychmiast po występie przysiadła się do młodego porucznika. W jej towarzyskim repertuarze istniał również zwyczaj indywidualnego zabawiania gości.

W ten sposób odbyło się drugie spotkanie niemieckiego szpiega z piękną tancerką. Owego wieczoru, w momencie, kiedy się rozstawali, Pehler szepnął do Fatimy:

— Mam dla ciebie robotę.

Fatima zajmowała wysoką pozycję towarzyską wśród oficerów brytyjskich. Dzięki temu wszystko lub prawie wszystko — począwszy od luksusowego jachtu na Nilu, a skończywszy na planach dyslokacji jednostek VIII Armii — o czym mógł marzyć szpieg w gąszczu wrogich żołnierzy i oficerów, Pehler otrzymywał z rąk Fatimy. Zebrał w tym czasie wiadomości, które mogłyby kosztować Anglików tysiące ofiar. Wskutek jednak utraty łączności ze sztabem Rommla nie mógł ich — na szczęście — przekazać.

Błąd nr 1

Niemiecki wywiad popełnił w sprawie Pehlera zasadniczy błąd. Abwehra wysłała do Egiptu szpiega, który biegle władał językiem angielskim i arabskim, zaopatrując go we wszystkie niezbędne środki techniczne oraz olbrzymią sumę pieniędzy — osiemdziesiąt tysięcy funtów szterlingów. Pieniądze, które Pehler otrzymał, potraktowano jako jego

główny atut w pojedynku o informacje. Jednego tylko w Berlinie nie wiedzano lub — co jest również możliwe — przez zwykłe przeoczenie zapomniano Pehlerowi powiedzieć: za angielskie funty można było wprawdzie w Egipcie wszystko kupić, jednakże ci, którzy je posiadali, nie mogli tych pieniędzy wymieniać w żadnym z banków egipskich. Prawo wymiany funtów na banknoty egipskie posiadał tylko główny płatnik VIII Armii. Wzrastająca ilość funtów na terytorium Egiptu wzbudziła podejrzenie władz brytyjskich. Wszystkie banknoty wymieniane w kasach VIII Armii posiadały numery, które wskazywały, że sprowadzono je z sum zdeponowanych w Szwajcarii, Portugalii, Hiszpanii oraz z krajów Ameryki Łacińskiej. Z Anglii nie pochodził żaden z wymienionych banknotów.

Płatnik VIII Armii porozumiał się z majorem Samosem, szefem brytyjskiego kontrwywiadu na Bliskim Wschodzie, i po dokonaniu laboratoryjnej analizy stwierdzono, że część banknotów to falsyfikaty.

Nie ulegało wątpliwości, że banknotami tymi mógł dysponować jedynie niemiecki szpieg. Samos zmobilizował oficerów kontrwywiadu, którzy zajęli się tropieniem ludzi posiadających funty szterlingi. Część spośród tych, którzy przyjmowali od Pehlera angielskie banknoty, opisywała go jako brytyjskiego oficera, inni jako „prawie Egipcjanina”. Przeprowadzono na olbrzymią skalę zakrojone łowy. Każde miejsce, w którym stwierdzono pojawienie się banknotów, było pilnie strzeżone. W klubie „Kit-Kat” nie zauważono tego rodzaju banknotów. Anglicy nie wiedzieli, że rachunki Pehlera płaciła Fatima banknotami egipskimi.

Pewnej nocy centrala brytyjskiego nasłuchu radiowego na Bliskim Wschodzie przesłała do kwatery VIII Armii następującej treści meldunek:

NIEZNANA RADIOSTACJA Z OBSZARU KAIR PRZESYŁA ZASZYFROWANE WIADOMOŚCI. PO RAZ PIERWSZY OD KILKU TYGODNI RADIOSTACJA TA OTRZYMAŁA ODPOWIEDZ. STACJA ODPOWIADAJĄCA ZNAJDUJE SIĘ W GRECJI.

Tej samej nocy z hotelu „Metropolitan” w Kairze wyszła młoda francuska tancerka, znana tutaj pod pseudonimem Govetta. Oficerowi brytyjskiemu, który jej towarzyszył, powiedziała:

— Proszę poczekać, za chwilę wrócę.

Nie udała się jednak do toalety, ale rozejrzawszy się wokoło, weszła do najbliższej kabiny telefonicznej. Nakręciła jakiś numer.

— Byłam umówiona na godzinę 22.00 z młodym Egipcjaninem, Husseinem Gafer. Dżentelmen nie przyszedł. Przed chwilą dowiedziałam się, że Anglicy szukają niemieckiego szpiega, który często występuje w podwójnej roli Anglika i Egipcjanina. Czy to jest prawda?

Człowiek, do którego skierowane zostało pytanie, po kilkunastu sekundach odparł:

— Tak, zgadza się — i po chwili dodał. — Jeżeli pani zna adres tego Egipcjanina, proszę pójść do jego prywatnego mieszkania i czuwać nad jego nocnym programem.

Młoda kobieta zawołała taksówkę i po kilkunastu minutach znalazła się w dzielnicy Camalek, w pobliżu Nilu, w odległości 100 metrów od jachtu Pehlera.

Była godzina 23.30, kiedy zapukała do okna kabiny. Wewnątrz zapanowała martwa cisza. Przedtem słychać było lekki brzęk kieliszków. Ta natychmiastowa cisza wzmocniła podejrzenia Govetty. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek, który grał przed nią rolę egipskiego milionera, miał w tej chwili ważniejsze sprawy do załatwienia i dlatego zrezygnował z wyznaczonego spotkania. Zdecydowana

rozszyfrować sprawę do końca, zagrała rolę zazdrosnej kochanki.

— Proszę otworzyć — zawołała — czekałam na ciebie dwie godziny.

Manewr udał się. Natychmiast odezwał się gramofon, chwilę później otworzyły się drzwi i jakaś ręka wciągnęła ją do wnętrza. Był to Pehler. Nie ogolony, zamroczony alkoholem, bąkał jakieś niezrozumiałe słowa. Był albo udawał kompletnie pijanego. Z drugiej kabiny dochodził głos gramofonu. Pehler co kilka minut zmieniał płyty. W pewnym momencie Govetta usłyszała, że z kimś rozmawia. Głos ten wydawał się jej znajomy. Był to głos Freburgera. W pewnym momencie usłyszała w najczystszyim dialekcie bawarskim:

— Zwariowali, domagają się, abyśmy dopiero jutro o godzinie 24.00 wywołali ich radiostację, twierdzą, że w tej chwili nie mogą przyjąć meldunku. Domagają się natychmiastowego przerwania łączności. Durnie! Nie wiedzą, że jutro może nas już nie być.

Potem słyszeć było tylko szept i Pehler wraz z Freburgerem weszli do kabiny, w której siedziała tancerka. Pehler otworzył następną skrzynkę whisky i pili do rana.

Dwie informacje

Tego samego dnia o godzinie 10.00 kontrwywiad brytyjsk otrzymał dwie informacje, które wpłynęły na los Pehlera i VIII Armii Brytyjskiej. Pierwsza wiadomość pochodziła od głównego płatnika brytyjskich sił zbrojnych w Egipcie. Major Samos, który przyjął wiadomość, nie mógł ukryć zdumienia:

— Co, handlarz jarzynami?

Oficer, który dostarczył tę wiadomość, odparł:

— Tak, handlarz jarzynami. Grek z pochodzenia, nazywa się George Andrulidakis. Ma sklep w dzielnicy Camalek. Większość jego klientów mieszka na Nilu w łodziach. Wczoraj pewien oficer brytyjski zakupił u niego dużą ilość jarzyn. W tej chwili Grek jest u nas i chce wymienić funty szterlingi na banknoty egipskie.

— Czy sądzi pan, że poznałby klienta?

— Oczywiście, on sam dostarczył towar do łodzi.

— Proszę pilnować Greka, jadę do was.

Druga wiadomość pochodziła z Haify. Oficer dyżurny w centrali nasłuchu radiowego podniósł słuchawkę. Ktoś chciał przekazać ważną wiadomość majorowi Samosowi.

— Słucham — odparł oficer.

— Zgłosi się do was młoda brunetka, nazywa się Govetta. Osoba ta posiada informacje o jednym z rzekomych oficerów brytyjskich, który posiada olbrzymią sumę funtów szterlingów. Według jej relacji jest to najprawdopodobniej niemiecki szpieg.

W trzydzieści minut później dwa palce jednocześnie wskazały miejsce, w którym ukrywał się poszukiwany od kilku tygodni przez brytyjski kontrwywiad niemiecki szpieg. Ani Grek, ani Govetta nie mieli wątpliwości, że był to ten sam jacht, który niedawno odwiedzili.

Anglicy otoczyli łódź, lokując w kilku miejscach ludzi z bronią maszynową. Również od strony Nilu podpłynęły do jachtu Pehlera uzbrojone motorówki. Przed rozpoczęciem akcji major Samos wydał rozkaz:

— Niemcy nie umkną nam. Muszą jednak wpaść w nasze ręce żywi. Prawdopodobnie będą usiłovali popełnić samobójstwo, należy temu przeszkodzić! Musimy działać tak szybko, aby nie mogli zniszczyć urządzeń nadawczych oraz jakichkolwiek dokumentów. Jeżeli zaistnieje koniecz-

ność użycia broni, trzeba to zrobić tak, aby mogli jeszcze składać zeznania.

John Pehler kapitułuje

Silne uderzenie kolbą karabinu w drzwi wyrwało Niemców z głębokiego snu. Freburger skoczył do łazienki, wziął żyletkę i wsunął ją za rękaw. Potem szepnął do Pehlera:

— Ja ich zatrzymam, ukryj dokumenty.

W chwilę później drzwi pod naporem Anglików ustąpiły i stanął w nich major Samos.

— Ręce do góry! — zawołał.

Jeden z żołnierzy krzyknął:

— Uwaga, on ma granat!

W tej samej chwili Pehler cisnął czymś w stronę majora Samosa. Anglicy rzucili się na podłogę. Potem okazało się, że była to butelka. Te trochę zamieszania wykorzystał Pehler i usiłował uciec. Skoczył do wyjścia, które prowadziło na pokład. Na górze czekał na niego żołnierz z karabinem. Zrobił natychmiastowy zwrot i chciał wyskoczyć przez okno, ale natknął się na wycelowaną w jego pierś lufę pistoletu. Zrezygnowany podniósł ręce. Po chwili przyprowadzono Freburgera i obydwu szpiegów zawieziono na przesłuchanie.

Tymczasem w sztabie Rommla nikt nie wiedział, że Pehler i Freburger wpadli w ręce kontrwywiadu brytyjskiego, Anglicy marzyli, aby Niemcy nigdy nie dowiedzieli się o tym, a przynajmniej — nieprędko, chcieli bowiem wykorzystać radiostację Pehlera. Istniał jednak warunek: rozmowy mogły być prowadzone wyłącznie za pomocą szyfru ustalonego w kwaterze Rommla. A tego szyfru — mimo znalezienia egzemplarza „Rebeki” — Anglicy dotychczas nie znali.

Samos dowiedział się od Govetty, że o godzinie 24.00 w sztabie Rommla miano oczekiwać meldunku. Jeżeli w umówionym czasie Pehler nie zgłosi się, Niemcy zrozumieją, że ich siatka szpiegowska została wykryta.

Oficerowie przeprowadzający śledztwo wzięli Niemców w krzyżowy ogień pytań. Pehler zachowywał się bezczelnie i oświadczył, że nie widzi potrzeby udzielania wyjaśnień i składania zeznań przed ludźmi, którzy jutro będą jeńcami generała Rommla. Freburger usiłował uwolnić się od obowiązku składania zeznań podcinając sobie żyły.

Tymczasem na jachcie Pehlera przeprowadzono gruntowną rewizję. Znalezione nowe dokumenty i rysunki. Wśród nich znajdowała się notatka zawierająca długość fal.

Po południu schwytano Fatimę. Przed pół godziną wróciła z plaży i usiłowała skomunikować się z Pehlerem. Zauważyła jednak wokół jachtu krzątających się żołnierzy angielskich i usiłowała dyskretnie się wycofać. Kiedy ją aresztowano, wyparła się wszelkiej współpracy z Niemcami. Jednakże major Samos powiedział jej wprost:

— Jedna rzecz może panią uratować — uczciwa odpowiedź na następujące pytanie: czy Niemcy przekazali już wiadomości, które pani im dostarczyła?

Fatima zrozumiała, że wytracono jej z ręki jakąkolwiek możliwość kłamstwa. Po chwilowym milczeniu odparła:

— Nie, jeszcze nie przekazali.

W kilka godzin później podoficer nasłuchu radiowego w Aleksandrii zdjął z uszu słuchawki, spojrzął na zegar i zanotował: godzina 24.00. Po czym zadzwonił do swego szefa:

— Przed chwilą znowu ktoś nadawał wiadomość za pomocą nie znanego nam szyfru.

— To niemożliwe — odparł szef. — Przecież ci dwaj

Niemcy zostali aresztowani. Czyżby major Samos wpadł na fałszywy ślad?

Anglik nie wiedział, że w tym czasie przesyłał już wiadomości Samos.

W ostatniej chwili Pehler załamał się i wyśpiewał szyfr. Punktualnie o godzinie 24.00 przy radiostacji Pehlera siedział oficer brytyjski i wywoływał stacje niemieckie. W kilka minut później zgłosiły się Ateny:

UWAGA KONDOR, UWAGA KONDOR, PROSZĘ NADAWAĆ..

Wielcy dowódcy i ich szefowie sztabów niezmiernie rzadko giną we współczesnych wojnach. Rozwój wszelkich środków łączności, jaki dokonał się w ostatnich latach, umożliwia bezpieczne kierowanie przebiegiem operacji wojennych z odległości kilkuset, a nawet tysięcy kilometrów. Już kilka wieków upłynęło od czasów, kiedy zabicie wodza było głównym celem walczących stron i rękojmnią zwycięstwa. Kiedy więc wiosną 1943 roku japoński komunikat wojenny doniósł, że admirał Isoroku Jamamoto, dowódca naczelny japońskiej marynarki wojennej, poległ w czasie działań na Pacyfiku, sądzono powszechnie, że był to tylko przypadek i że szczęście sprzyjało Amerykanom. Lecz to jednak nie był przypadek.

Wiedzieli o tym doskonale wyżsi oficerowie amerykańskiego wywiadu, którzy od dłuższego czasu polowali na admirała.

Osoba admirała Jamamoto od dawna była przedmiotem szczególnego zainteresowania ze strony amerykańskiego dowództwa, które poprzysięgło mu okrutny odwet w zamian za podstępną napad na Pearl Harbour*. W sztabie amerykańskich sił zbrojnych wiedzano doskonale, że to

* Baza amerykańskiej marynarki wojennej na wyspie Oahu na Hawajach.

on właśnie wydał rozkaz: „Niitaka jama nabore” — „wspinać się na górę Nitaka” — kryptonim oznaczający atak floty i lotnictwa japońskiego na jednostki amerykańskiej marynarki wojennej zakotwiczone w porcie Pearl Harbour. Jamamoto należał do tego pokolenia wybitnych dowódców japońskich, którzy swoje wojenne miecze samurajów zdobyli jeszcze podczas wojny z carską Rosją w 1904/5 roku. Talent dowódczy, śmiałość decyzji, żelazna konsekwencja w postępowaniu oraz zdolność przewidywania wysunęły go z czasem na stanowisko naczelnego dowódcy floty japońskiej, która pod jego kierunkiem urosła szybko do olbrzymiej potęgi. Jego zasługą było to, że znacznie wcześniej od przeciwników potrafił przewidzieć rolę i znaczenie lotniskowców, dzięki którym flota japońska odniosła w pierwszej fazie wojny wspaniałe sukcesy, gromiąc zespoły floty amerykańskiej. Bez wątpienia wybitna indywidualność admirała Isoroku Jamamoto, zwanego także często Napoleonem Pacyfiku, stanowiła dla Amerykanów poważne niebezpieczeństwo. Nic więc dziwnego, że na polecenie swojego dowództwa wywiad amerykański zaczął zastawiać na niego różne pułapki. Było to polowanie nacechowane bezwzględny okrucieństwem, w którym żadna ze stron nie mogła liczyć na litość i poślazanie. Lecz dotarcie do admirała na odległość strzału było niepodobieństwem. Japończycy musieli wiedzieć o próbach Amerykanów i dobrze strzegli swojego dowódcy. Nie wiedzieli oni jednak, że w pokoju nr 2246 w budynku amerykańskiego wywiadu morskiego w gmachu Pentagonu w Waszyngtonie kilku oficerów pilnie śledziło ze wszystkimi, nawet najbardziej zakonspirowanymi poruszeniami admirała. Ludzie ci, będąc w posiadaniu klucza do japońskiego tajnego szyfru, mogli bez przeszkód obserwować poczynania Japończyków. Kiedy więc admirał

Jamamoto wiosną 1943 roku wyruszył na inspekcję baz morskich i lotniczych na Wyspach Salomona, dokładny rozkład jego wyjazdów i przyjazdów zaplanowany przez sztab w Tokio znalazł się na biurku sekretarza marynarki w Waszyngtonie. Tak właśnie rozpoczęła się tajna operacja, mająca na celu unieszkodliwienie jednego tylko człowieka, admirała Isoroku Jamamoto. Lecz w jaki sposób Amerykanie weszli w posiadanie tajnego szyfru? Dopomógł im w tym przypadek.

Spotkanie w Cieśninie Beringa

Wiosną na Morzu Beringa szaleją zawsze silne i uporczywe sztormy. W tym czasie pojawiają się tam tylko świetnie przystosowane do nawigacji w warunkach podbiegunowych kutry wielorybnicze polujące na kaszaloty. Akwen znajdujący się między Aleutami a Cieśniną Beringa należy do najbogatszych łowisk wielorybnych na świecie.

Nurzając się aż po nadburcia w lodowatej topieli, trzy pękate norweskie statki wielorybnicze ciężko walczyły z rozszalałym żywiołem. Były to pierwsze dni maja 1940 roku. Z dalekiej Europy dochodziły tu tylko słabe odgłosy wojny. Przed kilku dniami właśnie alianci wycofali swoje oddziały ekspedycyjne z Norwegii, która znalazła się w rękach nieprzyjaciela. Kapitanowie kutrów postanowili skierować swoje jednostki do jednego z najbliższych portów neutralnych, aby zasięgnąć informacji o tych wydarzeniach.

Wieczorem na jednym ze statków stwierdzono rozluźnienie się blach poszycia i silny przeciek kadłuba. Kapitan zdecydował udać się niezwłocznie do cichej, osłoniętej

przed wichrami zatoki na Wyspie św. Mateusza w celu dokonania niezbędnej naprawy.

Wspinając się z trudem na wysokie fale, kuter wolno zbliżał się do wyspy. W pewnej chwili stojący na oku marynarz krzyknął:

— Człowiek za burta!

Okrzyk ten zelektryzował całą załogę. Rozdygotały się dzwonki alarmowe. Wskazówka telegrafu maszynowego w maszynowni znieruchomiała na słowie „stop”. Rzucono dryfkotwę*. Statek wykręcił wolno pod wiatr i stanął dziobem do fali. Kilku marynarzy zgromadzonych na pokładzie z zainteresowaniem spoglądało na wodę kłębiącą się u burty. Przewalało się w niej napuchłe ciało topielca w kamizelce ratowniczej, w granatowym mundurze i futrzanej marynarskiej kurtce. Po chwili zwłoki spoczywały już na pokładzie.

— Japończyk — stwierdził jeden z marynarzy przyglądając się zmarłemu — zapewne z tego patrolowca, którego SOS słyszeliśmy dzisiaj w nocy.

Szybko opróżnili kieszenie trupa. Był to zapewne oficer, ponieważ na rękawach jego kurty mundurowej złociły się dwa szerokie galony. W zanadrzu znaleziono portfel z dokumentami osobistymi, kilka fotografii i małą brązową książeczkę w wodoszczelnym pokrowcu. Stronice jej pokryte były cyframi i japońskimi hieroglifami.

Jeden z marynarzy przerzucił z niechęcią kilka kartek.

— Chyba jakiś kalendarz — powiedział do kolegi i oddał rzeczy Japończyka szyprowi, który zdecydował, że zostaną one przekazane władzom portowym w Naknek. Ciało Japończyka zaszyto w brezentowe płótno. W nogi

* Specjalny worek w kształcie stożka z mocnego płótna żaglowego rozpięty na metalowym pierścieniu. Rzucony do wody, utrzymuje statek dziobem do fali (przyp. aut.).

włożono kawał szyny żelaznej. Ktoś odmówił modlitwę, po czym zwłoki powierzono morzu.

Następnego dnia po dokonanej naprawie kuter wziął kurs powrotny. Po południu warstwa chmur rozpełzła się nieco i wyjrzało blade podbiegunowe słońce. W jego promieniach marynarze dostrzegli zbliżającą się ku nim smukłą sylwetkę patrolowca. Szyper przyłożył szkła do oczu.

— Jankesi — rzucił sternikowi — za chwilę tu będą.

— Wypatrują Żółtków — stwierdził spokojnie sternik i przełożył kilka szprych koła sterowego idąc na zbliżenie z zaobserwowanym okrętem. Po chwili statek strażniczy zrównał się z kutrem.

— Jak połowy? — krzyknął przez tubę jakiś oficer z pomostu nawigacyjnego patrolowca.

— Słabo — odkrzyknął Norweg — mieliśmy awarię.

— Żółtków nie spotkaliście?

— Owszem. Mieliśmy nawet jednego ich umarlaka na pokładzie. Zdążyliśmy go pochować, lecz mamy jego papiery. Chcecie je zabrać?

— Dawajcie — padła skwapliwa odpowiedź.

Z patrolowca przerzucono szybko linkę z woreczkiem obciążonym ołowiem, który wypchany przez Norwegów dokumentami Japończyka powędrował natychmiast w powrotną drogę.

— Dziękujemy — odkrzyknięto jeszcze z pokładu okrętu. Obie jednostki zaczęły szybko oddalać się od siebie. Stojąc obok sternika szyper statku wielorybniczego uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Niebo zesłało nam chyba tych Jankesów — rzekł — przynajmniej pozbyliśmy się kłopotu. W Naknek mieliśmy korowody z tymi dokumentami.

W kabinie dowódcy amerykańskiego patrolowca rozłożono wyłowione przez Norwegów dokumenty. Część z nich była tak przesiąknięta wodą morską i zniszczona przez sól, że nie sposób było cokolwiek odczytać. Dowiedziano się tylko ze stosunkowo nieźle zachowanej książeczki służbowej, że posiadacz ich był dowódcą japońskiego patrolowca „Hiruhi” pełniącego funkcje strażnicze w rejonie Wysp Kurylskich. Najwięcej kłopotu i przypuszczeń nasuwała jednakże mała brunatna książeczka okryta wodoszczelnym pokrowcem. Oficerowie amerykańskiego patrolowca na próżno głowili się nad jej odczytaniem. Książeczkę wraz z innymi papierami przekazano więc dowództwu bazy w Dutch Harbour na Aleutach. Lecz i tam niewiele z nią zdziałano. Oficer wywiadowczy bazy wiedział tylko tyle, że patrolowiec japońskiej marynarki cesarskiej „Hiruhi” trudnił się często wykonywaniem różnych tajemniczych misji szpiegowskich, wysadzając m.in. agentów japońskiego wywiadu na wybrzeżach Kamczatki i Mandżurii oraz Wysp Aleuckich. Przemawiało to za tym, że książeczka mogła mieć jakieś specjalne, ukryte znaczenie. Oficer postanowił więc wysłać ją niezwłocznie do Dowództwa Sił Zbrojnych rejonu Pacyfiku w San Francisco. Tam jednak także nie potrafiono rozszyfrować jej znaczenia. Pozostało więc tylko jedno wyjście: przekazać książeczkę Ministerstwu Marynarki w Waszyngtonie. Wynik kilkudniowej pracy specjalnej grupy ekspertów okazał się rewelacyjny. Książeczka zawierała bowiem klucz do szyfrów używanych przez japońską marynarkę wojenną, lotnictwo i Ministerstwo Spraw Zagranicznych, nie wyłączając tzw. „Purpurowego kodu” — ściśle tajnego

szyfru stosowanego przez Japończyków tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

Po stwierdzeniu tego w oddziale wywiadowczym ministerstwa powołano natychmiast do życia tajną sekcję szyfrów oznaczoną kryptonimem „C”, której zadaniem było rozszyfrowanie wszystkich przejętych szyfrogramów japońskich. Złożona z najlepszych specjalistów-kryptologów, pracowała ona w głębokiej tajemnicy i izolacji w pokoju nr 2246 w gmachu Ministerstwa Wojny w Waszyngtonie, do którego miało wstęp tylko kilku ludzi.

Ostatnia ofensywa Jamamoto

Po przegranej przez flotę japońską bitwie pod Midway, której głównym celem według zeznań Japończyków było zaatakowanie i opanowanie wyspy Oahu na Hawajach, Jamamoto został zmuszony do wycofania się w zasięg swoich baz stałych na wyspach Truk i Saipan. Postanowił on także zmienić kierunek natarcia, nie zmieniając jednakże celu strategicznego ofensywy, którym było odcięcie Australii od linii zaopatrzenia biegnących z Hawajów oraz opanowanie szóstego kontynentu. Pomimo poniesionej klęski sytuacja strategiczna Japonii w tym okresie sprzyjała w pewnym stopniu zamierzeniom admirała. Zewnętrzna linia obrony Japonii przebiegała w tym czasie przez wyspy: Wake, Gilberta, Ellice, Nową Gwineę, Salomona, Jawę aż po Singapur. Japońska twierdza strategiczna miała więc kształt wielkiego klina. Jego podstawa rozciągała się od Birmy aż po Kuryle, podczas gdy wierzchołek wsparty o wyspę Ellice zwrócony był jak ostrze miecza w kierunku opanowanych przez Amerykanów wysp Fidżi i Samoa. Ze strategicznego punktu widzenia klin ten pa-

nował nad całym Zachodnim Pacyfikiem i Oceanem Indyjskim. Gdyby Japonia dysponowała w tym czasie siłami pozwalającymi jej na zdobycie i utrzymanie ośrodków strategicznych na Oceanie Indyjskim przy jednoczesnym prowadzeniu działań ofensywnych na Oceanie Spokojnym, losy drugiej wojny światowej potoczyłyby się zapewne inaczej. Panując całkowicie nad całym obszarem od Oceanu Indyjskiego aż po Pacyfik, Japonia mogłaby z powodzeniem paraliżować ruch na liniach komunikacyjnych przeciwników państw osi. Pociągnęłoby to za sobą oczywiście poważne, a nawet tragiczne reperkusje strategiczne dla aliantów, prowadząc do zajęcia Egiptu przez Rommla, upadku frontu radzieckiego na Kaukazie zaopatrywanego drogą lądową przez Persję oraz przegranej Czang-Kai-szeka w Chinach, ponieważ nie mógłby on być zaopatrywany w sprzęt drogą przez Indie.

Nie mając szansy na osiągnięcie tego celu strategicznego Japonia w ogóle nie powinna była rozpoczynać wojny. Wobec potęgi ekonomicznej i przemysłowej USA wszystkie jej wysiłki z góry skazane były na niepowodzenie.

Jamamoto zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa zagrażającego bokom klina ze strony przeciwnika, który po klęsce floty japońskiej pod Midway znajdował się w korzystnej sytuacji operacyjnej mogąc uderzać na bastion japoński z czterech baz: Indii, Alaski, Hawajów i Australii. Wobec tego admirał postanowił śmiałym uderzeniem wyeliminować Australię z alianckich planów strategicznych. Osiągnąć to mógł tylko przez uderzenie z wierzchołka klina na Samoa, przez co odciąłby Australię od dowozu sprzętu i zaopatrzenia z Hawajów i USA, oraz przez jednoczesne uderzenie na Australię z Nowej Gwinei. Zamierzeniom jego sprzyjało to, że wszystkie przesunięcia swoich sił mógł dokonywać po liniach wewnętrznych trójkąta stra-

tegicznego, podczas gdy jego przeciwnik musiał działać po znacznie wydłużonych liniach dowozów biegnących z Hawajów przez Nowe Hebrydy.

Przystępując do wykonania tego zamierzenia Jamamoto uderza ponownie na Port Moresby na Nowej Gwinei, z którego chce uczynić swoją główną bazę wypadową przeciwko północnym wybrzeżom Australii.

W lipcu 1942 roku Japończycy lądują w Gona i maszerują przez dżunglę na południe, łamiąc w Kokodzie opór oddziałów milicji australijskiej, które są zmuszone wycofać się pod naporem przeciwnika w kierunku Port Moresby. Równocześnie Jamamoto przystępuje do budowy potężnego lotniska na wyspie Guadalcanal leżącej w długim łańcuchu wysp Archipelagu Salomona. Startując z tego lotniska bombowce japońskie miały zagrozić utrzymanym przez Amerykanów bazom na wyspach Nowe Hebrydy i Nowa Kaledonia. Przygotowania do tej gigantycznej operacji prowadzone były przez Japończyków w całkowitej tajemnicy, ponieważ Jamamoto zdawał sobie doskonale sprawę ze znaczenia czynnika zaskoczenia. Plan ten został jednak w porę udaremniony przez dowództwo alianckie.

Na wyspach Salomona

Samolot rozpoznawczy z loniskowca „Saratoga” po zakończeniu lotu nad dżunglami Nowej Gwinei wziął kurs powrotny do bazy na Nowych Hebrydach. W powietrzu wisiał tropikalny upał. Zbierało się na burzę. Pilot bombowca wiedział z doświadczenia, że w tak niepewną pogodę lepiej trzymać się ze względów bezpieczeństwa brzegów wysp. Dlatego też zamiast skierować maszynę ponad

Morze Koralowe, położył ją na nowy kurs ku brzegom wyspy Guadalcanal. Stamtąd zamierzał przeskoczyć do Santa Cruz, skąd już niewielka odległość dzieliła go od bazy. Nad Guadalcanal nadlecieli na pułapie około 6 tysięcy metrów. Pod kadłubem maszyny wolno przesuwiał się zielony, zbity gąszcz dżungli. Silniki pracowały równo. W dole wisiały drobne kłaczki białawych chmur.

— Widzisz coś? — spytał w pewnej chwili skiper* obserwatora.

— Zupełnie nic, skip. Żadnego ruchu.

— Włącz jednak kamery, przynajmniej pokażemy, że coś robiliśmy.

— Okey, skip. Zrobione.

Po wylądowaniu na lotnisku taśmy ze zdjęciami przekazano natychmiast do laboratorium, gdzie zajęli się nimi specjaliści. I tu pękła bomba. Czuła błona fotograficzna zarejestrowała to, czego nie mógł wypatrzeć niedoskonały wzrok ludzki. Wśród dżungli na Guadalcanal jaśniał długi pas drogi startowej. Japończycy nie tylko, że zajęli w tajemnicy wyspę, lecz w błyskawicznym tempie przystąpili do uruchomienia na niej bazy swoich bombowców. Informacja ta wywołała gorączkowy ruch we wszystkich sztabach amerykańskich na akwenie Pacyfiku. Na podstawie napływających informacji wywiadowczych i dostarczonych przez zwiad lotniczy dowództwo amerykańskie zaczęło przenikać zamiary Jamamoto. Generał Mac Arthur, głównodowodzący siłami alianckimi na Pacyfiku, zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi jego siłom ze strony japońskiej, i w celu udaremnienia go postanowił wymierzyć cios garnizonowi japońskiemu na Guadalcanal.

Na początku sierpnia 1942 roku 11 tysięcy żołnierzy z XIV

* Skiper — pierwszy pilot, szef załogi (przyp. aut.).

korpusu amerykańskiego generała majora O. W. Griswolda ląduje na brzegach Guadalcanal bez większych przeszkód ze strony nieprzyjaciela. Od tego momentu górzysta i porośnięta dżunglą wyspa wielkości przeciętnego polskiego powiatu staje się prawdziwym Verdun* Pacyfiku. Operacja Amerykanów na Guadalcanal spowodowała szereg morskich i lądowych bitew o niespotykanej gwałtowności, trwających równo sześć miesięcy, podczas których obie strony były na przemian bliskie klęski. Koncentrując swoje siły w rejonie Rabaul, Jamamoto był zdecydowany za wszelką cenę zniszczyć napastników. W tej sytuacji Amerykanie robili wszystko, aby utrzymać przewagę w powietrzu, gdyż zdawali sobie doskonale sprawę, że bez niej nie zdołają przeszkodzić Jamamoto w wykonaniu powziętych zamierzeń. Nie zwracając uwagi na toczące się wokół walki, na wybuchające zewsząd pociski artylerii i bomby lotnicze, na pożary beczek z paliwem i tysiące rannych i zabitych, saperzy i lotnicy amerykańscy przez kilkanaście dni i nocy z narażeniem życia i bohaterskim poświęceniem rozbudowywali pasy startowe lotniska Henderson. Wprawdzie w sześciu kolejnych bitwach morskich Amerykanie czterokrotnie ponieśli klęskę, lecz utrzymanie lotniska pozwoliło im z czasem na wyparcie Japończyków z Morza Koralowego i Archipelagu Bismarcka. Pod naciskiem sił amerykańskich Jamamoto został zmuszony do wycofania się do swoich baz na wyspie Truk i Nowej Brytanii. Osamotniony garnizon japoński na Guadalcanal stawiał zacięty opór, który po pewnym czasie został jednak złamany. Wyspa została opanowana przez wojska USA.

Pierwsza część planu Jamamoto została udaremniona.

* Twierdza francuska, o którą w czasie pierwszej wojny światowej toczyły się krwawe walki. Zginęło tam wtedy około pół miliona żołnierzy (przyp. aut.).

On sam jednak pomimo poniesionej klęski nie rezygnował z realizacji swoich zamierzeń. Jamamoto wierzył tylko w atak.

— Atak jest jedyną formą obrony — rzekł do zdumionego adiutanta stojąc przed dużą ścienną mapą w swoim gabinecie na wyspie Truk i snując półgłosem plany dalszych operacji. Napoleona Pacyfiku nie były w stanie złamać klęski.

Operacja „Odwet“

W połowie kwietnia 1943 roku potężne stacje podsłuchowe amerykańskiego wywiadu działające w Dutch Harbour na Aleutach przechwyciły długą szyfrowaną depeszę japońską nadaną z bazy na wyspie Truk. W kilka godzin później trafiła ona na stoły specjalistów z sekcji „C”. Długie kolumny cyfr zostały jeszcze raz przetworzone przez specjalną maszynę szyfrową, będącą dokładną kopią tej, za pomocą której Japończycy zaszyfrowali swoje informacje. O godzinie 11.00 rozszyfrowany tekst spoczął już na biurku ministra marynarki Knoxa, który przeczytał go uważnie. Szyfrogram nie zawierał nic specjalnego poza danymi o locie inspekcyjnym admirała Jamamoto. Knox przez chwilę obracał tekst w palcach, w końcu włożył go do szafy pancerniej. Sprawa ta w zasadzie go nie interesowała. Miał poważniejsze zmartwienia. Co u diabła mogły go obchodzić godziny lotu nieprzyjacielskiego admirała, jeśli jego podróż nie była bezpośrednio związana z operacjami wojennymi. Wywiad lotniczy donosił o nowej koncentracji Japończyków u wybrzeży Filipin. Gdzie i kiedy może nastąpić nowe uderzenie?

Knox zszedł do kantyny, aby odświeżyć nieco myśli filiżanką dobrej kawy.

— Co powiesz o takim pomysśle, Frank — zwrócił się do niego żartobliwie doradca ministerstwa, pułkownik Lammex, pociągając solidny łyk kawy.

— ???

— Nowy sposób rozgrywania wojen — wyjaśnił doradca. — Wypuszcza się na ring dwóch facetów, nakłada rękawice. Kto pierwszy zostaje znokautowany, przegrywa.

— Tak, to byłaby myśl — rzekł z namysłem Knox przypominając sobie spoczywający w szufladzie biurka mel-dunek.

Pół godziny później rozmawiał już w swoim gabinecie z głównodowodzącym siłami lotnictwa lądowego, generałem Arnoldem. Po zapoznaniu go z tekstem japońskiego szyfrogramu Knox spytał:

— Czy istnieje możliwość zestrzelenia Jamamoto w czasie lotu?

Generał nie mógł udzielić ostatecznej odpowiedzi bez zasięgnięcia opinii ekspertów. Do gabinetu Knoxa zostają wezwani specjaliści od prowadzenia wojny powietrznej. Otrzymują oni to samo pytanie co generał Arnold. Po dokonaniu kilku niezbędnych obliczeń stwierdzają, że zadanie leży w granicach możliwości sił lotniczych, o ile do akcji tej zostaną użyte specjalne myśliwce dalekiego zasięgu P-38 „Lightingi”.

Knox rozważał przez chwilę wszystkie pro i kontra tego, co w myśli nazywał już kryptonimem „Odwet”. Sięgnął po słuchawkę aparatu połączonego specjalnym kablem z gabinetem prezydenta Roosevelta w Białym Domu. Stamtąd wiadomość została przekazana w okamgnieniu poprzez łańcuch dowództw do admirała Nimitza na Hawajach i do admirała Halseya w jego kwaterze

głównej na Południowym Pacyfiku, aby w końcu dotrzeć do admirała Mitschera na Guadalcanal, na tej samej wyspie, o którą Jamamoto toczył tak uparte i zacięte boje.

Admirał Mitscher z zamyśleniem wpatrywał się w tekst otrzymanej depechy, który brzmiał:

WASZYNGTON, 17.4.43. GODZINA 3.35. ŚCIŚLE TAJNE.
SEKRETARZ MARYNARKI DO DOWODZTWA SIŁ LOTNICZYCH NA HENDERSON FIELD-GUADALCANAL.

ADMIRAŁ JAMAMOTO W TOWARZYSTWIE SZEFA SZTABU I SIĘDMIU OFICERÓW WYSTARTOWAŁ DZISIAJ O GODZINIE 8.00 Z BAZY NA WYSPIE TRUK NA INSPEKCJĘ BAZ W REJONIE BOUGAINVILLE. STOP. ADMIRAŁ I TOWARZYSZĄCE MU OSOBY LECAJ DWOMA BOMBOWCAMI MITSUBISHI „BETTY” ESKORTOWANYMI PRZEZ SZEŚĆ MYŚLIWCÓW TYPU „ZERO” STOP. ESKORTA DODATKOWA Z KAHILI BARDZO PRAWDOPODOBNA. TRASA PRZELOTU RABAUŁ — BUKA — BALLALE — KAHILI. ESKADRA 339 MA ZA ZADANIE PRZECHWYCIĆ I ZNISZCZYĆ JAMAMOTO I JEGO SZTAB WSZYSTKIMI ROZPORZĄDZALNYMI ŚRODKAMI. STOP. WYWIAD ZWRACA SZCZEGÓLNĄ UWAGĘ NA NIEZWYKŁĄ PUNKTUALNOŚĆ JAMAMOTO. STOP. PREZYDENT PRZYWIĄZUJE DO AKCJI NAJWYŻSZE ZNACZENIE. STOP. REZULTATY MELDOWAĆ NATYCHMIAST PROSTO DO WASZYNGTONU.

Podpisał Frank Knox — Sekretarz Marynarki

Dodatkowe informacje stwierdzały, że Jamamoto po wylądowaniu na Ballale miał na pokładzie ścigacza przeprowadzić inspekcję portu. Dokładny czas lądowania admirała Jamamoto na tej wysepce został wyznaczony na godzinę 9.45. Z japońskiego punktu widzenia samoloty Jamamoto w czasie lotu nie były niczym zagrożone. Przełot miał się odbywać nad terytorium opanowanym przez Japończyków, a najdalej wysunięta placówka, jaką zamierzał odwiedzić admirał, leżała w odległości 300 mil od

• Tymi kryptonimami oznaczali Amerykanie samoloty japońskie (przyp. aut.).

Guadalcanal, znacznie poza zasięgiem amerykańskich myśliwców. Jedyne myśliwce typu Lockheed P-38 „Lightingi” miały zasięg wystarczający, lecz na Henderson Field była ich tylko garstka. Krytyczny okres lotu admirała Jamamoto przypadał nad Kahili, ale roilo się tu od czujnych i bitnych myśliwców „Zero”, które z łatwością peradziłyby sobie z samolotami amerykańskimi.

Admirał Mitscher zarządził odprawę dowódców jednostek myśliwskich. Przystąpiono do opracowania planu akcji. Musiał to być plan precyzyjny i zapewniający całkowite zaskoczenie. Mitscher wiedział, że powodzenie akcji będzie zależało od odwagi i hartu ludzi tworzących grupę szturmową, których zadaniem będzie przedarcie się przez nieprzyjacielską obronę bez względu na wszystko i zaatakowanie Jamamoto.

Z czterdziestu pilotów eskadry 339 admirał Mitscher wybrał dwudziestu pięciu najlepszych i tym wybranym polecił jeszcze ciągnąć dodatkowe losy. Pozostało osiemnastu. Tyloma tylko samolotami P-38 rozporządzał admirał. Z tymi osiemnastoma Mitscher szczegółowo omówił plan zadania. Nikt się nie wycofał, pomimo że Mitscher dał im wolną rękę. Start wyznaczono na godzinę 7.30 rano. Piloci salutując odeszli do swoich maszyn. Wśród nich znajdował się najlepszy z najlepszych, as lotnictwa amerykańskiego na Pacyfiku, kapitan Thomas G. Lanphier.

Jemu to właśnie przypadło zestrzelenie samolotu Jamamoto.

Misja kapitana Lanphiera

Rodzina Lanphier z Detroit miała lotnictwo we krwi. Ojciec kapitana Lanphiera był zawodowym wojskowym i dowodził niegdyś amerykańską grupą myśliwców. Tom

odbył swój pierwszy samodzielny lot mając lat czternaście. Do lotnictwa wstąpił w 1941 roku, a na miesiąc przed Pearl Harbour uzyskał odznakę pilota. W miesiąc później brał już udział w walkach na Południowym Pacyfiku, a w kwietniu 1943 roku posiadał najwyższe odznaczenia bojowe nadawane lotnikom.

On to właśnie został wyznaczony dowódcą sekcji szturmowej składającej się z sześciu myśliwców. Dwunastoma „Lightingami” sekcji osłaniającej dowodził major John W. Mitchell.

Początkowo plan przewidywał przylot nad Ballale w chwili, gdy Jamamoto będzie przeprowadzać na ścigaczu inspekcję portu. Jednakże Lanphier przeciwstawił się temu zdecydowanie.

— Nie potrafiłbym odróżnić ścigacza od kajaka — rzekł. — Jestem zdania, że należy uderzyć na Jamamoto w powietrzu.

Plan został więc zmieniony, co wymagało dokonania jeszcze bardziej precyzyjnych obliczeń.

— Nikt z pilotów nie wiedział wówczas — wspominał po latach Lanphier — że posiadane wiadomości były wynikiem rozszyfrowania japońskich depeš. Trzymano to w najściślejszej tajemnicy, by fakt ten nie doszedł do wiadomości Japończyków. Zmieniliby bowiem natychmiast swój szyfr. Zarówno ja, jak i inni chłopcy myśleliśmy, że informacje te pochodzą od tubylczych wywiadowców, którzy często informowali nas o posunięciach i planach Japończyków.

Zgranie i uzgodnienie czasu było kluczowym zagadnieniem operacji. Jeśli miała być ona uwieńczona powodzeniem, myśliwce amerykańskie powinny się być znaleźć w oznaczonym punkcie w dokładnie oznaczonym czasie. Gdyby znalazły się tam przedwcześnie, Japończycy na

Kahili w porę zaalarmowani poderwaliby się w powietrze i sprawili załogom amerykańskim straszliwe lanie. Gdyby się spóźnili i nadlecieli po wylądowaniu Jamamoto, straciliby bezpowrotnie jedyną szansę i lanie dostaliby swoją drogą. Szanse powodzenia były więc w najlepszym wypadku jak 1 : 100.

Następnego dnia rano dokładnie o godzinie 7.31, z ogłuszającym rykiem silników wystartowało do lotu osiemnaście „Lightingów”. Odległość lotu obliczona została na 430 mil, z tym że „Lightingi” miały zatoczyć pięćdziesięciomilowy łuk nad morzem w celu uniknięcia wzrokowego lub radarowego wykrycia przez japońskie placówki na wyspach Munda i Rendowa. Wyszły nad lotnisko, zrobiły przepisową rundę, uformowały się w sekcje. Leciały w odstępach trzyminutowych. Na czele grupa szturmowa Lanphiera, nieco wyżej osłona Mitchella. Wywindowali się w górę. Pod nimi skrzył się w blaskach słońca szmaragdowy Pacyfik. Przelatywali nad małymi, bezludnymi atolami, o które w białych pianach rozбивały się fale. Wreszcie wyszli nad Kahili. Przed nimi widać było jak na dłoni dwa bombowce Jamamoto w otoczeniu sześciu myśliwców. Leciały spokojnie ustalonym kursem, widocznie piloci nie dostrzegli jeszcze nieprzyjaciela. Grupa szturmowa Lanphiera zeszła ze słońcem na 3 500 metrów. Prowadzona przez Lanphiera dokonała przewrotu przez skrzydła i znurkowała w dół. Pierwszy leciał samotny „Betty”. Za nim w pewnej odległości drugi — w asyście sześciu myśliwców. Nie ulegało wątpliwości, że był to samolot admirała. Atakująca trójka Lanphiera, dwa samoloty uległy bowiem uszkodzeniu w czasie lotu, odcięła japońskim samolotom ucieczkę w stronę wyspy. Trzy „Zera” odłączyły się od bombowców i z rozpaczliwą determinacją rzuciły na Amerykanów. Hine i Barber, koledzy Lanphiera, wyciągnęli

je zręcznie nad pełne morze. Pozostałe cztery dostały się w ogień działek pokładowych maszyn prowadzonych przez Mitchella. Porucznik Lanphier wykorzystał zamieszanie i rzucił się jak jastrząb na „Betty” Jamamoto. Seria z działek pokładowych rozpruła jak płótno metalowe skrzydło bombowca, błyski eksplozji zapełgały po osłonach silników. Bombowiec stanął w płomieniach, zniżył się gwałtownie i ponad koronami palm uciekał w głąb wyspy. Lanphier zszedł ostro za nim. W celowniku rósł olbrzymi, zielonkawy kadłub, przez okna kabiny widać było dobrze twarze Japończyków. Lanphier kciukiem nacisnął spust działek umieszczony na drążku sterowym. „Betty” przechyliła się gwałtownie na prawe skrzydło, zawadziła o pień olbrzymiej palmy i spadła w płomieniach w gęszcz bujnej dżungli. „Lighting” Lanphiera wyrwany z lotu nurkowego tuż nad drzewami położył się w głęboki wiraż, wrócił nad morze. Porucznik widział, jak w odległości kilkuset metrów od szczątków samolotu admirała roztrzaskał się drugi bombowiec z oficerami jego sztabu. Tego zapisał na swoje konto porucznik Barber. W chwilę potem zginął porucznik Hine zestrzelony przez japońskiego myśliwca. Japończycy zapłacili za to stratą trzech swoich samolotów.

Operacja „Odwet” była zakończona. Samoloty amerykańskie wróciły do bazy. Porucznik Lanphier za swój czyn zostaje mianowany kapitanem. Jego nominacja została jednakże ogłoszona dopiero po wojnie. Obawiano się, że Japończycy mogliby go skrytobójczo zamordować, mszcząc się za śmierć swojego dowódcy.

Na wieść o śmierci admirała Jamamoto w Japonii ogłoszono żałobę narodową. Następcą jego został mianowany admirał Koga Hinchichi, który w dziewięć miesięcy później w tajemniczych okolicznościach został zlikwidowany przez własny wywiad.

Pułkownik Martinelli, zastępca szefa OSS, pułkownika Billa Donovana, i kierownik europejskiej ekspozytury amerykańskiego wywiadu strategicznego, uniósł głowę znad papierów i spojrzał na swojego pomocnika, majora Sutaro, który siedząc w głębokim fotelu z uwagą przeglądał ilustrowane pismo. Czując na sobie wzrok zwierzchnika major Sutaro odwrócił głowę i wyczekująco spojrzał na szefa.

— Ciekaw jestem — powiedział z zadumą Martinelli — czy Hannie Handerson zjawi się w Londynie w przewidywanym czasie. Agent Os-45 melduje, że przed kilkoma dniami opuściła Berlin udając się do Wilhelmshafen, gdzie miano zamustrować ją na okręt podwodny. Obawiam się jednak, że księżycowe noce przeszkodziły wykonaniu tego zadania. Nasi przeciwnicy z centrali Abwehry w Berlinie będą oczekiwali na pogorszenie pogody.

Johnny Sutaro uśmiechnął się lekko.

— Założę się — powiedział — że Hannie dzisiaj wyładowała na naszym wybrzeżu i że obecnie znajduje się już w pobliżu nas. Mieliśmy przecież mglistą i deszczową noc, Steve.

— Chciałbym, żebyś miał rację, Johnny — rzekł Martinelli. — Tym razem nie uda się jej wypłatać z naszych sieci. Będziemy musieli rozegrać to tak, aby nie zoriento-

węła się, że została zdemaskowana. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, upieczemy przy tym ogniu dwie wspańiałe pieczenie.

Major Sutaro pokiwał z aprobatą głową. Wiedział już, o czym myśli Martinelli. To rzeczywiście byłoby wspańiałe, gdyby Hannie Handerson stała się narzędziem dezinformacji przeciwnika w rękach amerykańskiego wywiadu, nie zdając sobie zupełnie sprawy z odgrywanej przez siebie roli.

Pułkownik Martinelli podszedł do stojącej w rogu pokoju dużej szafy pancernej i wydobył z niej zieloną teczkę opatrzoną napisem „Ścisłe tajne”. Położył ją na krawędzi biurka, rozwiązał pieczętowanie tasiemką łączącą oba grzbiety i wydobył kilka kart papieru zapisanych drobnym maszynowym pismem.

Major Sutaro śledził uważnie poczynania zwierzchnika.

Teczka zawierała szczegółowe dane o Hannie Handerson. Przygotowując się do operacji specjalnej, wymierzonej przeciwko niemieckiej agentce, obaj oficerowie pragnęli jeszcze raz przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o niej wywiad amerykański. Gra, którą mieli zamiar rozpocząć, wymagała bezbłędnej znajomości psychiki przeciwnika, jego zalet, przywar i słabości. Bez tego nie mogliby w ogóle działać.

— Hannie Handersen — czytał wolno pułkownik Martinelli — urodzona 10 sierpnia 1920 roku w Kimberley w Afryce Południowej. Rodzice niemieckiego pochodzenia. Studia uniwersyteckie w Getyndze. Od roku 1939 w służbie Abwehry, obecnie w VI urzędzie RSHA gruppenführera Schellenberga. Wykonała kilka udanych akcji wywiadowczych. Świetna aktorka, doskonale potrafi przystosowywać się do otaczających ją warunków i środowisk. Bardzo inteligentna, chłodna, przebiegła, wyrachowana,

pozbawiona wszelkich skrupułów. Fanatycznie oddana ideologii hitlerowskiej. Przeszkolona w ośrodkach wywiadowczych Abwehry w Stuttgarcie i Berlinie.

Martinelli odłożył informacje do teczki i pytająco spojrział na Sutaro.

— No i co, Johnny? — spytał.

— Sądzę, że gra nie będzie łatwa — odparł major. — Pomimo to musimy spróbować ją wygrać. Innego wyjścia przecież nie mamy.

— Masz rację.

W gabinecie zapadło milczenie. Obaj oficerowie zamyślili się nad zadaniami, jakie czekały ich w ciągu najbliższych dni. Nagle zapukano do drzwi.

— Proszę — powiedział niechętnie pułkownik Martinelli nierad, że przerwano mu tok myśli. Drzwi otworzyły się bezszelestnie i do gabinetu wszedł salutując młody, wysoki porucznik z sekcji kontrwywiadowczej OSS. Na jego widok na twarzy obu mężczyzn pojawiło się zainteresowanie.

— Co nowego, Frank? — zagadnął nieco podnieconym głosem major Sutaro.

— Przed chwilą otrzymaliśmy meldunek, panie pułkowniku — zaraportował służbiście przybyły — w sprawie „Błękitnego pajaka”.

— „Błękitnego pajaka?” — Martinelli uniósł się w fotelu, nie będąc w stanie pohamować podniecenia.

— A więc?...

— Agent nasz melduje — mówił z niezmaconym spokojem porucznik — że Hannie Handerson przybyła do Londynu i zatrzymała się w pewnym mieszkaniu w Clifton Villa, opodal Warwick Avenue.

— A więc jednak — wyrwało się Martinellemu. Gra rozpoczynała się znacznie prędzej, niż się tego początkowo spodziewali.

Po wyjściu porucznika Martinelli zwrócił się do majora Sutaro:

— Jeżeli Hannie przybyła już do Londynu, to należy spodziewać się, że w najbliższym czasie będzie się starała nawiązać kontakt z kimś od nas. Zadanie, jakie otrzymała w Berlinie, powiada przecież wyraźnie, że celem jej powinno być uzyskanie informacji wywiadowczych od oficerów OSS.

— Nie będziemy jej chyba robili żadnych trudności — stwierdził major. — Trzeba się tylko postarać, aby jak najprędzej mogła złożyć swoim szefom meldunek o nawiązaniu takich stosunków. Najważniejsze w tym wszystkim to kwestia odpowiedniej inscenizacji.

Pułkownik Martinelli zastanawiał się przez chwilę.

— Musimy przede wszystkim wyszukać dla niej odpowiedniego człowieka, który będąc w OSS mógłby wzbudzić równocześnie jej zaufanie.

Major Sutaro skinął potakująco głową.

— Rozumiem cię, Steve, ale czy nie uważasz, że to jest trochę niezbyt etyczne?

— Nie mamy innego wyjścia. Człowieka tego oczywiście, jak słusznie przypuszczasz, nie wtajemniczymy, że Hannie jest szpiegiem niemieckim. Trzeba tak to urządzić, aby nabrał on przekonania, że Hannie jest prawdziwą patriotką holenderską. Ona zaś musi być przeświadczona, że zdobywa informacje jedynie przez własną chytrą i umiejętność uwodzenia mężczyzn. Tym razem będą to jednak informacje, które celowo dla niej spreparujemy. Całość musi wypaść jak najbardziej naturalnie i prawdziwie, w przeciwnym bowiem wypadku nic nie osiągniemy.

— O key — powiedział Sutaro. — Jak stwierdzają nasi ludzie, Hannie Handerson jest zaopatrzona w dokumenty, za pomocą których będzie starać się wkroczyć do

jednego z naszych sztabów. Wydaje mi się, że trzeba to jej ułatwić.

— To dobra myśl, Johnny. Pogadaj w tej sprawie z majorem Olhamem.

W tym samym czasie, gdy obaj oficerowie zastanawiali się, jak zastawić pułapkę na niebezpieczną agentkę niemieckiego wywiadu, ona sama odpoczywając na tapczanie w swoim mieszkaniu na Clifton Villa zastanawiała się nad otrzymanymi w Berlinie rozkazami. Zadanie, które miała wykonać, należało do najtrudniejszych w całej jej karierze szpiegowskiej. Przed wyjazdem do Wilhelmshafen wezwał ją do siebie jeszcze raz szef VI urzędu RSHA, Gruppenführer Schellenberg. Rozmowa toczyła się w jego gabinecie w gmachu RSHA na Prinz Albrecht Platz w Berlinie. Hannie zapamiętała dobrze jego słowa.

— Wiemy — mówił Schellenberg, rzucając z ukosa spojrzenie na agentkę — że nasi przeciwnicy opracowali już plan inwazji na kontynent, w rejonie Francji lub Holandii. Pani zadaniem będzie zdobyć w tej sprawie szczegółowe informacje. Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli stosując taktykę z czasów swojej działalności w Algierii wejdzie pani w kontakty osobiste z oficerami wywiadu. Od tych ludzi można się zawsze dowiedzieć najwięcej. Pani uroda i talent oraz wiara w nasze ideały będą tu dodatkowym atutem i bodźcem. Ufam, że odniesie pani całkowity sukces...

Następnego dnia Hannie znalazła się już na pokładzie U-boota. Jednakże zanim dotarła do brzegów Anglii, upłynęło jeszcze kilka dni. Dowództwo U-bootów wahało się przed wysłaniem okrętu w pogodną noc na akcję, wymagającą wynurzenia u pilnie strzeżonych wybrzeży brytyjskich. Schellenberg był wściekły na to opóźnienie, lecz

i on niewiele mógł zdziałać. Doenitz, do którego należała ostateczna decyzja w tej sprawie, był nieugięty.

— Dla jednego agenta nie będę poświęcał całego okrętu z załogą — oświadczył z niezmaconym spokojem Schellenbergowi.

Dalej nie warto było o to kruszyć kopii. Doenitz był ulubieńcem Hitlera.

Dopiero pod koniec drugiego tygodnia od czasu opuszczenia przez Hannie Berlina stacja meteorologiczna Kriegsmarine w wieczornym komunikacie zapowiedziała gwałtowne pogorszenie się sytuacji atmosferycznej. Od północnego Atlantyku nadciągał niski pułap chmur, deszcze i mgły. Kapitan U-boota otrzymał zezwolenie wyjścia w morze. Okręt podwodny U-1242 chyłkiem opuścił redę portu wojennego w Wilhelmshafen i wziął kurs na wybrzeże brytyjskie w okolicy Sunderlandu, gdzie miano wyokrętować agentkę. Okolica ta została dobrana z uwzględnieniem wszystkich wymogów bezpieczeństwa. Wybrzeże w tym miejscu jest silnie zaludnione i pojawienie się obcej twarzy nie powinno było zwrócić niczyjej uwagi, jak to mogło mieć miejsce w innych okolicach zamieszkałych tylko przez rybaków i ludność z dawna osiadłą. Oczywiście podjęcie do wybrzeża w takim punkcie nie było łatwe, ale kapitan Kesteler był doświadczonym marynarzem i należało ufać, że uda mu się pomyślnie przeprowadzić tę akcję. Tak też się stało.

Po wylądowaniu na brzegu brytyjskim Hannie Handerson zatopiła swoją „dinghy” i udała się do Sunderlandu, skąd wyruszyła w dalszą drogę do Londynu. Doskonała znajomość języka angielskiego oraz znakomicie podrobione przez centrum techniczne Abwehry w Stuttgarcie dokumenty osobiste stawiały ją poza wszelkimi podejrzeniami. Jej szefowie mogli być pewni powodzenia całej operacji.

Przynęta chwyciła

Hannie Handerson była tego wieczoru w świetnym nastroju. Jak dotychczas, wszystko szło po jej myśli; każdy krok zdawał się zbliżać ją do upragnionego celu. Dzięki posiadanym dokumentom udało jej się otrzymać pracę w jednym ze sztabów alianckich w charakterze tłumaczki z języka holenderskiego na angielski. Poznała tam oficera amerykańskiego, majora Olhama, który pewnego dnia zaprosił ją na cocktail party oświadczając, że zaproszenie to pochodzi od jego znajomego, oficera Office of Strategic Service.

Na dźwięk tej nazwy Hannie drgnęła z wrażenia. Upragniona chwila nadeszła. Po powrocie do domu zaczęła przygotowywać się do odegrania swej wielkiej roli, od której zależało powodzenie misji. Siedząc przed lustrem, Hannie uważnie studiowała twarz. Była zadowolona. Wyglądała świetnie. Z posągowo piękną twarzą, zagadkowym uśmiechem i figurą godną dłuta największych rzeźbiarzy mogła liczyć na wrażenie, jakie wywoływała wśród mężczyzn.

Spotkanie majora Olhama z Johnny Sutaro i zaproszenie, które otrzymała, nie było przypadkowe. Całe przyjęcie zostało z góry uplanowane i opracowane do ostatniego szczegółu przez pułkownika Martinelli i majora Sutaro. Kiedy Hannie Handerson stanęła w drzwiach salonu, obaj oficerowie, oparci o framugę okna, prowadzili ożywioną rozmowę.

— To ona — rzekł Sutaro. — Poznaję ją. Spotkałem się z nią kilkakrotnie w Algierze.

Przepychając się przez tłum i zręcznie wymijając tańczące pary major zbliżył się do Hannie i Olhama.

— Cóż to za miła niespodzianka! — wykrzyknął udając

zaskoczenie. — Wszak to Hannie Handerson? Cóż to się z panią działo od czasów algierskich?

— Spędziłam rok w Afryce Południowej i teraz dopiero przyjechałam do Londynu — odparła bez drgnienia powiek, patrząc prosto w oczy majora.

„Ależ ma silną wolę” — pomyślał nie bez podziwu i obrzucił ją ciekawym spojrzeniem. Hannie prezentowała się wspaniale. Ubrana w piękną balową suknię, z obnażonymi plecami i głębokim dekoltem, wyróżniała się elegancją i urodą wśród wszystkich obecnych kobiet. Tymczasem serce jej biło niespokojnie. Jeszcze w Berlinie nauczyła się na pamięć obszernej dokumentacji dotyczącej Afryki Południowej, w której była tylko we wczesnym dzieciństwie, modliła się jednak w duchu, aby nie potrzebowała do niej sięgać. Ale Johnny Sutaro nie pytał ją o nic więcej, zauważył bowiem w tłumie młodego, trzydziestoletniego kapitana o pięknej sylwetce, miłym uśmiechu i ciemnych, lekko falujących włosach.

— Dan — skinął na niego — czy nie przypominasz sobie Hannie Handerson z Algieru?

Kapitan Dan Russel oczywiście nie przypominał sobie, ponieważ nigdy na oczy nie widział tej kobiety. Mimo to przytaknął skwapliwie. Hannie Handerson z pewnością warta była największego kłamstwa, nie mówiąc już o takiej błahostce. Na pierwszy rzut oka zafascynowała go. Major Sutaro ulotnił się natychmiast, pociągając za sobą Olhama. Stojąc koło bufetu i wolno sącząc whisky z sodą, uważnie obserwowali, jak Dan i Hannie tańczą przytuleni do siebie. Pułkownik Martinelli uśmiechnął się do majora Sutaro. Ogniu zostało zadzierzgnięte. Teraz należało tylko czekać na to, czy się utrzyma — czy Hannie potrafi oczarować młodego oficera do tego stopnia, aby stracił dla niej głowę. Pułkownik Martinelli był o to spokojny. Wybór

kandydata nie był przecież dokonywany na ślepo. Wiedział, że Dan Russel nie jest uczuciowo zaangażowany w żadnej kobiecie. Wiedział również, że jest to człowiek bardzo odważny, lecz równocześnie bardzo sentymentalny, zdolny do największych porywów. Jeśli Handerson była tak sprytna, jak się wydawało, niewątpliwie powinna zdobyć bez większych trudności jego uczucia i zaufanie.

John Sutaro i Steve Martinelli roztoczyli nad tą parą najbardziej czujną i skrupulatną opiekę. Już po kilku dniach mogli z całą pewnością stwierdzić, że „przynęta chwyciła”. Agenci, inwigilujący na ich polecenie młodą parę, meldowali, że po ostatnim spotkaniu Dan odprowadził Hannie do Clifton Villa i został u niej do rana. Ukryty w kontakcie ściennym mikrofon, zainstalowany tam na polecenie pułkownika Martinelli, zdradził oficerom wszystkie tajemnice tej nocy. Po przeanalizowaniu taśm magnetofonowych Martinelli i Sutaro wiedzieli już, że Dan Russel znalazł się w sidiach pięknej Hannie i że w jego sercu zaczęło się rodzić do niej głębokie uczucie.

Oficerowie nie potrafili ukryć przed sobą lekkiego zażenowania. Bez wiedzy Russela wdzierali się w jego intymne sprawy, które winny były odegrać tak wielką rolę w opracowanych przez nich planach.

— Uważam — powiedział Sutaro — że powinniśmy teraz przydzielić Hannie do pomocy Danowi. Zakomunikujemy mu o tym jutro.

Stacja „QQR“ działa

Hannie Handerson pośpiesznie zamknęła pudełko z czekoladkami, w którego podwójne dno wmontowany był miniaturowy aparat nadawczy. Był to bez wątpienia praw-

dziwy cud techniki, nad którym najlepsi niemieccy specjaliści biedzili się kilka lat. Kluczem, za pomocą którego Hannie nadawała w eter znaki Morse'a, był przerywacz zwykłego, zepsutego dzwonka elektrycznego, spoczywający zwykle wśród różnych rupieci w szufladzie kredensu. Od jego zacisków prowadziły dwa druty, do których przed nadawaniem Hannie przymocowywała dwie szpilki. Wbiła je następnie w odpowiednich miejscach pudełka czekoladek, gdzie niewidoczne i dobrze ukryte dla oka znajdowały się gniazdka kontaktowe. W podobny sposób podłączała małą płaską baterię, używaną zwykle do latarek elektrycznych, dostarczającą energii nadajnikowi.

Zapukano do drzwi. Hannie ukryła pudełko w szufladzie biurka i poszła otworzyć. Była nieco niespokojna, ale zadowolona. Przed chwilą właśnie nadała kilka meldunków do Dublina, gdzie mieściła się placówka niemieckiego wywiadu, donosząc, że udało się jej już nawiązać kontakt z wywiadem amerykańskim.

Otworzyła drzwi. W progu stał Dan Russel. Hannie nie zdawała sobie sprawy ze swoich uczuć do niego. Jej osobowość ulegała błyskawicznemu rozdwojeniu, pozwalając jej przedzierzgać się zupełnie niepostrzeżenie dla niej samej z roli kochanki w rolę szpiega. Dan Russel kochał ją jednak naprawdę. Czuła to i wiedziała o tym, ponieważ знаła dobrze swoją wartość i przewagę, jaką miała nad mężczyznami.

— Chciałem przyjść wcześniej — powiedział Russel — ale zatrzymała mnie pewna sprawa niezmiernie ważna dla nas obojga.

Hannie Handerson uczuła silne ukłucie w okolicy serca. Znów opanował ją niepokój. A więc może... Uśmiech Dana uspokoił ją jednak.

— Kochanie — mówił Russel obejmując ją czule. — Począwszy od przyszłego tygodnia nie będziemy się już rozstawać. Będiesz pracowała razem ze mną.

Na wieść o tym Hannie ogarnęło przejmujące drżenie. Może była to w jej życiu jedyna chwila, gdy nagłe uczucie do mężczyzny, zwykła potrzeba szczęścia wzięły górę nad obowiązkami szpiega. Trwało to jednak krótko. Z niepamięci wyłoniła się okrutna, cyniczna twarz Schellenberga. Usłyszała jak przez mgłę jego głos: „Wierzimy, że pani to uczyni, Hannie”.

Potem wszystko zniknęło. Hannie Handerson była znów tylko agentką wywiadu.

Inspiracja

Wyznaczony przez sztab aliancki termin rozpoczęcia inwazji zbliżał się wielkimi krokami. Tajemnicę tę znało dotychczas tylko kilka osób. Należeli do nich: Churchill, Eisenhower de Gaulle i kilku wyższych oficerów sztabu generalnego. Z założeń planu „Overlord” — pod takim kryptonimem była zaszyfrowana operacja inwazyjna — wynikały pewne, niezwykle trudne do realizacji zadania dla wywiadów alianckich.

Ponieważ prawdziwa inwazja miała się odbyć w Normandii, trzeba było niezwłocznie przekonać Oberkommando der Wehrmacht, że lądowanie odbędzie się w zupełnie innym punkcie. Holandia, znacznie oddalona od Normandii, a przy tym leżąca w pobliżu brytyjskich portów załadunkowych, była niewątpliwie idealnym miejscem rzekomej inwazji. Na polecenie swoich zwierzchników pułkownik Martinelli i major Sutaro długo zastanawiali się nad sposobem dostarczenia Hannie Handerson fałszywych infor-

macji. Obaj oficerowie wiedzieli, że nie będzie to sprawa zbyt łatwa. Jeśli jednak informacje te miały wywołać pożądany skutek, nieprzyjacieli nie mógł mieć najmniejszych nawet wątpliwości co do ich autentyczności. Należało zatem opracować drobiazgowy scenariusz postępowania wobec Hannie Handerson, a następnie uruchomić olbrzymi aparat dla stworzenia pozorów przygotowań do inwazji w Holandii. W tym celu trzeba było zawiązać tajną organizację, która skupiałaby emigrantów holenderskich i prowadziła działalność wywiadowczą przeciwko Niemcom na terytorium Niderlandów. Pułkownik Martinelli ustalił, że organizacja ta będzie pracowała pod fikcyjną firmą towarzystwa filmów dokumentalnych. Kierownikiem tej organizacji został mianowany major Howard, czterdziestoletni Anglik, którego major Sutarto wtajemniczył we wszystkie szczegóły operacji. Jego pomocnikiem i jednocześnie oficerem łącznikowym przy OSS mianowano Dana Russela. Dla Hannie Handerson przewidziano funkcję sekretarki i tłumaczki. Trójka ta miała stanowić pion kierowniczy organizacji, wokół którego zgrupowano wkrótce kilkunastu przebywających w Londynie patriotów holenderskich. Ludzie ci nie wiedzieli nic o roli, jaką w rzeczywistości mieli odegrać, wierząc, że terenem inwazji sprzymierzonych będzie rzeczywiście Holandia. Najbardziej delikatną sprawą było wprowadzenie do akcji Hannie Handerson. Chodziło o to, aby kandydatura jej nie została narzucona przez zwierzchników, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, lecz została wysunięta przez Dana Russela, i żeby on sam mógł jej o tym powiedzieć. Pułkownik Martinelli postanowił w związku z tym odegrać małą scenę, która według wszelkich założeń i przewidywań powinna była doprowadzić do takiego rozwiązania.

W kilka dni później Dan Russel został niespodziewanie

wezwany do biura pułkownika Martinelli, który był tego dnia w szczególnie złym nastroju. Pułkownik przyjął Dana chłodno, uskarżając się na zbyt powolne tempo pracy przy tworzeniu nowej organizacji.

— Jest coś, co poważnie opóźnia naszą akcję — mówił pułkownik. — Są to trudności, jakie mamy w znalezieniu odpowiedniej liczby osób mówiących biegle po holendersku, przy czym osoby te muszą być bezwzględnie pewne.

Nastąpiła chwila milczenia i Martinelli zaczął już wątpić, czy Dan Russel pójdzie dalej po jego myśli. Wreszcie jednak kapitan zwrócił się do pułkownika:

— Dlaczego by nie wziąć do tej pracy miss Handerson? Jest ona holenderską patriotką i można jej całkowicie zaufać.

— Czy jest pan jej zupełnie pewny? — spytał Martinelli.

— Oczywiście. Dałbym za nią głowę.

W takim razie doskonale — stwierdził pułkownik i dodał ze szczególnym naciskiem: — Przyjmujemy proponowaną przez pana kandydaturę miss Handerson.

Gdy Russel ucieszony wyszedł z gabinetu, Martinelli uśmiechnął się smutno.

„Dał głowę — pomyślał. — Boże, jak łatwo daje się głowę...”

Okrucieństwo wywiadu

Wybiła godzina 16.00. Major Howard stojący w korytarzu pilnie przyglądał się pracownikom swojego biura. Wzrok jego w pewnej chwili zatrzymał się na Hannie Handerson. Ubrana w szary, skromny kostium sportowy, nie różniła się niczym, poza niezwykłą urodą, od innych

pracowniczek biura. A przecież to ona była jednym z najniebezpieczniejszych szpiegów niemieckich i dla niej tylko zmontowano i wprowadzono w ruch cały ten olbrzymi aparat.

Przed chwilą właśnie major Howard zawiadomił wszystkich swoich pracowników o bliskim przyjeździe do Wielkiej Brytanii jednego z czołowych przywódców holenderskiego ruchu oporu. „Aristo Film” — pod takim kryptonimem kryła się organizacja — działał już od trzech tygodni w małym biurze na trzecim piętrze czynszowej kamienicy przy Warden Street. W atmosferze ściśle konspiracyjnej nawiązywano tajne kontakty, przesyłano meldunki, utrzymywano łączność z działającymi na terytorium okupowanej Holandii organizacjami ruchu oporu. Wszystko to mogło sprawiać wrażenie, że alianci istotnie przygotowują operację inwazyjną na terytorium holenderskie.

W kilka dni później aliancki okręt podwodny przewiózł do Anglii jednego z przywódców holenderskiego ruchu oporu, Henka Jannsen. Był to typowy Holender o rumianych policzkach i jasnych, rudawych włosach. Kiedy Howard i Russel wyjawili mu cel jego przyjazdu stwierdzając, że w związku z planowaną na terytorium Holandii inwazją sprzymierzonych potrzebne są im informacje o siłach niemieckich tam zgrupowanych, Jannsen onieміał z zachwytu. Nie wątpił w prawdziwość słów Howarda, lecz rzeczywistość zakrawała po prostu na sen. Przez kilka dni dyktował sprawozdania i udzielał oficerom wszystkich potrzebnych wyjaśnień. Major Howard był w zasadzie zadowolony. Nie wątpił, że Hannie Handerson poinformuje szczegółowo o wszystkim szefa Abwehrstelle w Holandii, pułkownika Henla. Czuł jednak silne wyrzuty sumienia w związku z pewnym postanowieniem związanym z osobą

Jannsen. Przywódca holenderskiego ruchu oporu miał tego dnia opuścić Anglię udając się na pokładzie okrętu podwodnego w drogę powrotną. Przed odcumowaniem kapitan okrętu zwrócił się nieoczekiwanie do Howarda.

-- Czy Jannsen został zaopatrzony w truciznę?

Regulamin brytyjskiej służby tajnej przewidywał, że każdy agent wysyłany na terytorium nieprzyjacielskie otrzymywał na drogę dawkę cyjanku potasu, która powodowała śmierć po pięciu sekundach.

— W tym wypadku uważam to za zbyteczne — odparł major unikając wzroku kapitana.

— Jak to zbyteczne? — zdziwił się stojący obok Dan Russel. — Truciznę otrzymują wszyscy agenci udający się na kontynent. Co będzie, jeśli zostanie ujęty przez Gestapo i pod wpływem tortur zacznie sypać? Przecież zna on tajemnicę inwazji!

— Odtąd agenci mają wyruszać w drogę bez trucizny — skłamał na poczekaniu Howard nieswoim głosem. — Takie otrzymałem dzisiaj rozkazy.

Był to wyrok śmierci na Jannsen, lecz innego wyjścia nie było. Gdy w przeddzień Martinelli wraz z pułkownikiem zastanawiali się nad tą sprawą, zadecydowali, że Jannsen nie otrzyma trucizny. Było rzeczą niewątpliwą, że Handerson zawiadomiła już o jego podróży Hagę lub Berlin i że wpadnie on niechybnie w ręce wroga. Lecz to właśnie było ich celem. Decyzja była okrutna, lecz coś znaczył jeden lub nawet kilkudziesięciu Jannsenów wobec setek tysięcy żołnierzy, którzy mieli pewnego dnia wylądować na plażach normandzkich.

Wkrótce nadeszło z Holandii potwierdzenie tych przypuszczeń. Jannsen został schwytany przez Niemców i nie mogąc znieść wyrafinowanych tortur, zdradził plan inwazji na terytorium holenderskie. Los jego podzielił w kilka dni

później drugi przywódca holenderskiego ruchu oporu, Jan Bakker, pilot portowy z Amsterdamu.

Jednakże ofiary te nie poszły na marne. Już w trzy dni po schwytaniu Bakker'a przez Gestapo zasygnalizowano z Holandii, że w sztabie wojsk niemieckich w Leiden można zaobserwować wzmożoną ruchliwość i nerwowość. Schellenberg w swoich szyfrogramach żądał nieustannie od Hannie Handerson przesłania rzeczowego dowodu mogącego w sposób wiarygodny potwierdzić informacje o inwazji. Szczególnie chodziło mu o dowody koncentracji oddziałów desantowych na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Ponieważ Handerson nie mogła opuścić swojego posterunku, przerzucono w ten rejon innego agenta, który wkrótce mógł dostarczyć wiarygodnego potwierdzenia. I tu bowiem pułkownik Martinelli, major Sutaro i major Howard nie zasypiali sprawy. Poza znajdującymi się w tym rejonie oddziałami wojsk inwazyjnych, które dopiero w drugim rzucie miały wziąć udział w operacji „Overlord”, zgromadzono na wybrzeżu wielkie ilości wraków, starych statków oraz mnóstwo kauczukowych makiet ciężarówek i czołgów. Z kauczuku były również działa, transportery opancerzone i amfibie. Olbrzymie plaże zaorane były śladami gąsienic czołgów, które odciskano w ziemi za pomocą specjalnych maszyn. Dla pilotów i obserwatorów samolotów wywiadowczych stanowiło to nieomylną oznakę ruchu pojazdów w tym rejonie. OKW otrzymało rozkaz stopniowego przetrzymywania wojsk.

Ze swej strony wywiad aliancki robił wszystko, aby Hannie mogła wreszcie uzyskać definitywne i rzeczowe potwierdzenie rzekomej inwazji. Był już 1 czerwca i lądowanie w Normandii miało się rozpocząć dokładnie za pięć dni. Należało więc rzucić do gry ostatnie, najsilniejsze atuty. Wieczorem tego dnia pułkownik Martinelli połączył

się telefonicznie z majorem Howardem i wezwał go niezwłocznie do siebie.

— Jestem w posiadaniu pełnego kompletu planów fikcyjnej inwazji w Holandii — powiedział. — Wykonane są bez zarzutu przez naszych najlepszych specjalistów od tych rzeczy. Byłoby nad wyraz pożądane, aby Handerson mogła je szybko zobaczyć. Jeśli żywi bowiem najmniejsze wątpliwości, będziemy zgubieni. Co gorsza, nasi przeciwnicy mogliby się wówczas domyślić, że inwazja będzie miała miejsce we Francji. Niech pan umożliwi jej w jakiś sposób, nie budząc podejrzeń, zajrzenie do tej koperty. Resztę pozostawiam pańskiej inicjatywie. Proponuję, aby ostentacyjnie włożył je pan do kasy stwierdzając, że oto nadszedł wielki dzień, ponieważ plany inwazji dotarły do waszego biura, a potem pozostawił biuro otwarte na dwie-trzy godziny. Dałoby to niezawodnie szansę Hannie Handerson. Czy sądzi pan, że da sobie radę z kasą?

Major Hoard zastanowił się.

— Chyba tak — rzekł wolno — ale nie wiem tego na pewno. Kilkakrotnie już zostawiałem przez „zapomnienie” klucze u siebie na biurku. Dwukrotnie zabierał je także Dan Russel. Możemy więc mieć nadzieję, że do tej pory zdążyła porobić odciski, ale na to nie mam dowodów.

Martinelli podał mu dużą, szarą kopertę z planami.

— Możemy tylko prosić Opatrzność, aby sprzyjała naszym celom — rzekł na pożegnanie.

Następnego dnia po południu major Howard wezwał do swego gabinetu cały personel biura. W rękę trzymał kopertę z planami.

— Chciałbym przede wszystkim podziękować wam — rzekł na wstępie — za waszą wspaniałą postawę i wysiłek w pracy w ciągu ostatnich tygodni. Obowiązki, którymi was obarczono, były olbrzymie, lecz koniec ich jest już

bliski. Wiadomości, jakie otrzymałem, są niesłychanie ważne. Dziś jeszcze musimy zrehabilitować nasze ostatnie instrukcje i rozkazy dla grup ruchu oporu w Holandii. Obawiam się, że w tych warunkach będziemy tu musieli spędzić całą noc. Proponuję więc, abyśmy teraz udali się na obiad, aby móc zasiąść do dalszej pracy za trzy godziny.

Wsadził klucz do zamku kasy ogniotrwałej i uśmiechnął się na znak, że konferencja skończona. Zanim jednak opuścił pokój, powiedział do Dana:

— Russel, jest jeszcze kilka spraw, które muszę z panem omówić. Proszę więc pójść ze mną na obiad.

Russel skinął głową. Przedtem jednak musiał uporządkować papiery leżące na biurku. Moment ten wykorzystał Howard na włożenie koperty do kasy. Położył ją płasko i na brzegu ułożył spinacz w ten sposób, że w wypadku gdyby koperta została ruszona, zsunąłby się on na bok. Dzięki temu miał uzyskać pewność, czy Hannie Handerson udało się dostać do wnętrza i przejrzeć papiery.

Wychodząc z biura obaj oficerowie przeszli tuż obok otwartych drzwi pokoju, w którym pracowała Hannie. Właśnie wyjmowała z szuflad biurka różne drobiazgi i chowała je do torebki. Howard wyciągnął z tego faktu optymistyczny wniosek, że gotuje się do ucieczki przed rozegraniem ostatniego aktu.

Dan uśmiechnął się do niej i powiedział:

— A więc, kochanie, do zobaczenia za chwilę...

Nie wiedział, że widzi ją po raz ostatni.

Dokładnie w pół godziny później drzwi kasy pancernej zostały otwarte i Hannie Handerson maleńkim aparaciek przefotografowała strona po stronie plany zaopatrzone oficjalną pieczęcią Naczelnego Dowództwa Sprzymierzonych. Po chwili powędrowały one na swoje miejsce i Hannie z triumfem w sercu opuściła gmach biura.

Teraz chodziło jej już tylko o to, by uciec, nim dotychczasowi zwierzchnicy zorientują się, że zniknęła. Wzięła taksówkę i udała się do swego mieszkania na Clifton Villa. Musiała to uczynić, ponieważ ukryta tam była aparatura nadawcza, bez której nie sposób było przekazać informacji. Gorączkowo włączyła ją i nadała szyfrogram do Berlina, zawiadamiając, że lądowanie sprzymierzonych odbędzie się o świcie 5 czerwca na wybrzeżu holenderskim.

Punktualnie po trzech godzinach major Howard wrócił do biura i natychmiast zajrzał do szafy pancерnej. Spinacz nie leżał na swoim miejscu. Natychmiast połączył się telefonicznie z Martinellim.

— Hallo, szefie. Ryba umknęła z przynętą.

Martinelli nie starał się ukryć radości. Cel został nareszcie osiągnięty, okrutna i niewdzięczna praca zakończona. Obecnie nie pozostawało nic innego, jak zachować pozory dalszej aktywności w oczekiwaniu na dzień inwazji.

Howarda czekała jednakże jeszcze jedna nad wyraz przykra misja.

Była godzina 23.00, gdy do jego gabinetu wpadł bardzo przejęty i zaniepokojony Dan Russel.

— Z Hannie stało się coś złego. Dotychczas nie zgłosiła się do biura. Telefon w jej mieszkaniu nie odpowiada.

— Niech pan usiadzie — powiedział drewnianym głosem Howard. Przełknął ślinę i ciągnął dalej: — Wiem, że będzie to dla pana ciosem, lecz mam obowiązek powiedzieć panu o tym. Hannie Handerson nie wróci już tu nigdy. Jest niemieckim szpiegiem.

Howard był przygotowany na gwałtowną reakcję młodego oficera, lecz nie mógł się spodziewać takiego wybuchu. Russel zerwał się gwałtownie i zaczął krzyczeć prosto w twarz majora:

— Czy pan oszalał?! Co się tu dzieje?!

Usta majora były suche, gardło miał ściśnięte.

— Proszę, niecha pan zatelefonuje do pułkownika Martinelli — powiedział wreszcie — to on zaaranżował to wszystko. Od początku wiedzieliśmy, kim jest Hannie Handerson. Zdemaskowaliśmy ją zaraz po jej ucieczce z Algieru, kiedy udało jej się na szczęście za późno wykraść tajne plany naszego uderzenia na Francuską Afrykę Północną. W tej chwili najważniejsze jest to, że osiągnęliśmy cel. Hannie jest teraz zapewne w drodze do Berlina, dokąd wiezie plany dotyczące fałszywej operacji inwazyjnej.

Kapitan Dan Russel z wysiłkiem opadł z powrotem na krzesło.

— To znaczy — wyjąkał — że i ja... ja jestem zdrajcą.

— Obawiam się, że ma pan rację, kapitanie — stwierdził Howard. — Był pan zbyt lekkomyślny i nie zachowywał obowiązujących przepisów ostrożności. Musi pan jednak wiedzieć, że zachęcaliśmy pana do tego. Wiem, że cała historia jest bardzo bolesna dla pana i zarzucać nam pan będzie, że jesteśmy bezwzględni i okrutni. Jednakże w takich chwilach proszę pomyśleć o tych, którym uratowaliśmy życie dzięki temu, że część sił niemieckich została skierowana do Holandii.

W trzy dni później, w nocy z 5 na 6 czerwca 1944 roku, oddziały alianckie wylądowały na wybrzeżu normandzkim. Akcja „Holandia” wydała owoce.

Wkrótce potem w lochach RHSA na Prinz Albrecht Strasse została rozstrzelana z rozkazu Himmlera niemiecka agentka, Hannie Handerson. Jej szefowie uznali, że była agentem brytyjskiego wywiadu i przekazywała fałszywe informacje na polecenie Intelligence Service.

OSTATNI POJEDYNEK

W 1944 roku żołnierze niemieckiej armii, lotnictwa i marynarki nie mieli już złudzeń co do potęgi III Rzeszy. W tych samych dniach, kiedy gasła potęga niemieckiego Wehrmachtu, Hitler ze swoim sztabem przeżywał chwile ostatniej „wielkiej nadziei”. Oficer dyżurny pilnujący bezpośrednich połączeń z Peenemünde (na wyspie Uznam w Zatoce Szczecińskiej) otrzymał następujące polecenie: informować fùhrera o każdej porze dnia i nocy o każdym meldunku wysłanym przez kierownictwo laboratorium w Peenemünde.

W biurach i fabrykach III Rzeszy nikt już nie słucha komunikatów Głównej Kwatery. Niemcy obiega szyderczy dcwcip: „Oberkommando der Wehrmacht posiada już gotowe komunikaty na najbliższe miesiące”.

W Kancelarii Rzeszy mały kuternoga zwraca się do jednego ze swych pracowników:

— Kiedy połączycie mnie z rozgłośnią? Czy sądzi pan, że OKW może zmienić decyzję?

— Nie sądzę, panie ministrze, zbyt dużo od tych wiadomości zależy.

W dziesięć minut później rozgłoszenie Niemiec oraz radiofonie okupowanych terytoriów transmitują przemówienie Goebbelsa. „Wybiła godzina zemsty. Od tej chwili będziemy płacić Anglikom tą samą monetą. V — broń, która

przekracza wszelkie osiągnięcia wrogów w tej dziedzinie, przyniesie nam zwycięstwo. Anglicy będą umierać bez najmniejszej możliwości obrony”.

Lipiec 1944 roku. Mister Brown, podobnie jak codziennie od dwudziestu lat, zabiera z Fleet Street paczkę gazet dla swojej firmy. Od chwili, kiedy wojska alianckie wylądowały w Normandii, stary Brown tuż po otrzymaniu gazet rozcina opakowanie, wyjmuje pierwszy egzemplarz i czyta. Nagła eksplozja rzuca go o ścianę. Nie było żadnego alarmu. Stary Brown leży z przetrąconym kręgosłupem. Martwe oczy spoglądają nieruchomo na czołówkę pierwszej kolumny „Timesa”: „Caen padł. Dywizje gen. Pattona maszerują na Paryż”.

Setki V-1 spadły tego dnia na Londyn. Wielka Brytania przeżyła straszliwy szok. Najgorsze było to, że nikt nie wiedział, jaką ilością tego rodzaju pocisków Hitler dysponuje.

„Ja pana oddam pod sąd wojenny...”

Do pokoju generała Hagerty, szefa VI oddziału Secret Service, ktoś puka.

— Proszę wejść.

— Londyn otrzymał pierwszą porcję latających bomb A-4. Goebbels zapowiada masowy odwet — melduje adiutant podając radiogram z załączonym zdjęciem.

Generał spogląda ironicznym wzrokiem na przejętego oficera.

— Pan powinien się leczyć, drogi młodzieńcze. Nie po to przeniosłem pana z frontu do oddziału wywiadowczego,

aby zatruwał mi pan spokój histerycznymi plotkami. Prosić pułkownika Jacobsona.

Szef sekcji tajnych broni niemieckich czyta podaną kartkę.

— Nonsens, oczywisty nonsens. To jakieś nieporozumienie. To nie jest ta rzecz, na którą czekamy. Proszę przysłać zdjęcia operacji „Jaguar”.

Porównując zdjęcia, oficerowie wydają następującą opinię:

— Tak, to jest ten sam aparat, który fotografowaliśmy na poligonach Peenemünde w roku 1942. Jednak to nie jest A-4 — ponaddzwiękowa rakietą. Nasz wywiad ustalił to ponad wszelką wątpliwość.

— To nie ma znaczenia, od jakiego typu rakiet będzie ginęła ludność naszych miast — wtrąca generał Hagerty.

— Oczywiście, panie generale — odpowiada zmieszany pułkownik — niemniej jednak to są pociski, przed którymi można się jeszcze bronić.

Generał absolutnie nie podziela tej opinii.

— Jeżeli V-1 reprezentuje ostatnie możliwości techniczne Niemców — mówi — to nie ma się czego obawiać, wystarczą „Spitefiry”. Ale jeżeli spojrzeć na tę broń jako na wizytówkę laboratoriów w Peenemünde, to wydaje mi się, że wywiad angielski popełnił największe w czasie obecnej wojny głupstwo — niewybaczalne głupstwo.

Generał podnosi słuchawkę:

— Prosić majora Honey.

Wszyscy milczą. Major Honey melduje swoje przybycie.

— Ja pana dziś jeszcze oddam pod sąd wojenny, majorze! — mówi wzburzonym głosem generał Hagerty.

— Nie rozumiem — odpowiada zmieszany major.

— Nie rozumie pan? Kto dokonał analizy zdjęć ostatniego nalotu na Peenemünde? Kto sporządził końcowy ra-

port: „...laboratoria, magazyny, sprzęt — doszczętnie spalone. Personel wybitny. Ze względu na brak siły fachowej i sprzętu dalsza produkcja wykluczona. Podpisał szef laboratorium VI oddziału Secret Service major Honey”.

W gabinecie generała zapanowała przygnębiająca cisza.

— Tak, tej sprawy nie rozwiążą wyłącznie bombowce — przerwał ją wreszcie generał. — A rozwiązać trzeba, i to niezwłocznie. Nie zapominajcie, panowie, że w Norwegii Niemcy kończą pracę nad konstrukcją bomby atomowej. Jeżeli uda im się połączyć A-4 z ładunkiem atomowym, nie pomogą dywizje generała Eisenhowera.

Spotkanie w hotelu „Eden“

Komendant ośrodka Peenemünde, generał Gabler, jest przerażony. Po każdym nalocie na Peenemünde dowódcy obrony przeciwlotniczej i kontrwywiadu odcinka Peenemünde oczekiwali wyroku śmierci lub w najlepszym wypadku wysłania na pierwszą linię frontu. Teraz, kiedy pierwsze V-1 spadły na Londyn, Anglicy dowiedzieli się ponownie o istnieniu Peenemünde. Angielskie bombowce przeprowadziły nowy atak. Generał Gabler oczekiwał w najbliższych tygodniach szturmów połączonych sił RAF-u i Secret Service.

— Znajdujemy się w tragicznej sytuacji, panie generale — mówi pułkownik Andert, szef kontrwywiadu odcinka Peenemünde. — Poza uczonymi i personelem technicznym pracują tu tysiące jeńców i więźniów K. Z. W miejscach, które są obiektem ciągłym masakry, nie mogą przecież pracować Niemcy jako niewykwalifikowani pracownicy. I dlatego admirał Canaris powinien zrozumieć, że bronimy

najczulszego ośrodka niemieckich zbrojeń w wyjątkowo niekorzystnych warunkach. Teren Peenemünde wymaga od oficerów Abwehry nieprzeciętnych zdolności.

Pesymizm pułkownika Anderta nie był bezpodstawny. Niemiecki kontrwywiad wiedział dobrze, gdzie znajdują się słabe punkty obrony Peenemünde.

Jencom polecono wykonywanie tylko tych czynności, które wykluczały jakąkolwiek możliwość orientacji w całym cyklu produkcyjnym, nie mówiąc już o wynikach badań laboratoryjnych. Stworzono im takie warunki pracy, aby istniały minimalne możliwości wymiany informacji. Biura konstrukcyjne i laboratoria były zupełnie izolowane od baraków jenieckich. Każdy pracownik naukowy czy techniczny był dokładnie śledzony. W laboratoriach i halach konstrukcyjnych co drugi pracownik pomocniczy był agentem Abwehry.

Mimo tych środków ostrożności pułkownik Andert nie czuje się na siłach podjąć zadaniu. Wysłał do admirała Canarisa rozpaczliwy raport:

PRZYŚLIJCIE KOGOŚ, KTO NIE WZBUDZIŁBY ABSOLUTNIE PODEJRZENIA, ŻE PRACUJE DLA NAS, KTO JEDNOCZEŚNIE DYSPONOWAŁBY NIE TYLKO SAMĄ TECHNIKĄ SZPIEGOWSKĄ.

Abwehra wzywa pułkownika Anderta do Berlina. Spotkanie z nowym współpracownikiem następuje w hotelu „Eden”.

Wytworna dama o bardzo ciemnej cerze i trochę złowrogich oczach wywarła na pułkowniku Andercie jak najkorzystniejsze wrażenie. Nazywała się Maria Micaro. Admirał Canaris mógłby powiedzieć na jej temat nieco więcej. Na przykład to, że urodziła się w Krakowie, że jej prawdziwe nazwisko brzmi zupełnie inaczej, że do 1939 roku mieszkała w Warszawie. Micaro w pierwszych mie-

siącach okupacji nawiązała kontakt z placówką wywiadu brytyjskiego w Berlinie. W grudniu 1939 roku Gestapo wpadło na jej trop. Zaproponowano jej: wyrok śmierci albo współpraca. Micaró znalazła się na liście funkcjonariuszy urzędu admirała Canarisa.

Agentka została zaangażowana do Peenemünde w charakterze sekretarki dyrektora generalnego zakładów, profesora dr Dornbergera. Było to stanowisko pozwalające na utrzymywanie kontaktu z całym zespołem inżynierów. Mogła obserwować wszystkie newralgiczne punkty procesu produkcji, być wszędzie i widzieć wszystko, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia.

— Powysyłam was wszystkich na front! Skończą się wreszcie drzemki!

Pułkownik Jacobson jest wściekły. Przestraszony radiotelegrafista nieśmiało próbuje wyjaśnić:

— Wykluczamy jakąkolwiek możliwość niedopatrzenia, od trzech miesięcy nie wyłączamy aparatów. Przed godziną otrzymaliśmy wiadomość, że „Lima” wpadła w ręce Niemców. Istnieją dwie możliwości: albo „ZRO” znajduje się w podobnej sytuacji, albo posiada uszkodzony nadajnik.

Pułkownik zdaje sobie sprawę, że dłużej nie można czekać. W pracy wywiadu istnieją terminy, których nie wolno przekroczyć. One decydują o powodzeniu całej akcji.

W tym samym dniu nasłuch francuski otrzymał następującą wiadomość:

BERLIN INFORMUJE LONDYN PRZEZ PARYŻ, „PIRANIA” SPOTKAŁA SIĘ W BERLINIE Z SZEFEM KONTRWYWIADU ODCINKA PEENEMÜNDE. PROSZĘ OSTRZEC „ZRO”.

Major Tanecker szybko wertuje książkę kryptonimów. „P... «Pirania» — oficer wywiadu niemieckiego, szczególnie niebezpieczna. Od roku w wyłącznej dyspozycji admirała Canarisa”.

Major Tanecker odmawia wykonania rozkazu

Generał Hagerty zarządził natychmiastową odprawę szefów sekcji wydziału niemieckiego. Dnia tego powstał jeden z najśmielszych planów, jakie kiedykolwiek przedsięwziął wywiad brytyjski. Majorowi Taneckerowi polecono wysłać trzech oficerów drogą powietrzną w kierunku Peenemünde, on sam zaś otrzymał rozkaz udania się do Peenemünde przez Rzym, Berlin, Szczecin. Głównie nadzieje wiązano z tym drugim planem.

Tanecker odmówił wykonania rozkazu.

W gabinecie zapadła martwa cisza. Wówczas głos zabrał generał Hagerty:

— Major Tanecker do złudzenia przypomina wyglądem niemieckiego oficera. Ukończył studia w Niemczech. Zna świetnie język niemiecki. Może on wzbudzić mniej podejrzeń aniżeli którykolwiek z nas. Szczegółowy plan wygląda następująco: do naszej placówki w Rzymie dotrze pan przez Genewę. W Rzymie otrzyma pan kompletne wyposażenie i dokumenty na nazwisko kapitana Kellera, który po odniesionych ranach i po okresie rekonwalescencji odkomenderowany został tymczasowo przez Oberkommando des Heeres (Główna Kwatera Sił Zbrojnych) do dyspozycji garnizonu Peenemünde. Od tej strony sprawa nie budzi żadnych wątpliwości. Oczywiście, komenda ochrony w Peenemünde zawsze może sprawdzić, czy rzeczywiście wydział personalny OKH oddał do ich dyspozycji oficera

o takim nazwisku. Wówczas pana rozstrzelają. Aby pana przekonać o konieczności przyjęcia tej misji, majorze, nie myślę używać innego argumentu oprócz tego, że nie można tej sprawy nie załatwić i nikt jej lepiej od pana nie załatwi.

Profesor von Braun triumfuje

W zakładach Peenemünde przystąpiono do eksperymentalnego wystrzelenia V-2.

Potężny dźwig ustawia rakietę, opierając się lotkami o konstrukcję stalowego krateru. Oficer ogniowy włącza prąd. W szóstej sekundzie po włączeniu silnika rakietą unoszą się pionowo w górę. Potężna turbopompa włącza w ciągu sekundy 128 tysięcy litrów paliwa w paszczę potężnego silnika. 650 tysięcy koni mechanicznych pracuje pełną parą. W ciągu 9 sekund niebo wchłania dwunastometrowego potwora. W ciągu 296 sekund rakietą osiąga wysokość 192 km. Po chwili stacje obserwacyjne meldują:

POCISK SPAŁ W ODLEGŁOŚCI 302 KM. NIEMCY WYPRZEDZIŁY WSZYSTKIE PAŃSTWA W DZIEDZINIE BUDOWY RAKIET O BLISKO TRZY LATA.

Profesor von Braun triumfuje.

W grupie obserwatorów znajduje się „ZRO” — oficer wywiadu brytyjskiego kapitan Koonighan alias inżynier Meier z oddziału budowy silników. Kilkanaście metrów dalej Maria Micaro stenografuje rozmowę profesora von Brauna z marszałkiem Milchem. Marszałek proponuje przekazanie sprawy V-2 w ręce Hitlera.

Koonighan zna „Piranię” od dawna i dostrzegł ją natychmiast w grupie niemieckich oficerów. Odczuł to tak,

jak odczuwa się wyrok śmierci. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że i ona go rozpozna z chwilą, kiedy go zauważy. Koonighan kilkanaście dni leżał w szpitalu, wykluczało to jakąkolwiek możliwość kontaktu z angielską centralą. Postanowił więc dziś jeszcze połączyć się z nią.

Tego samego dnia około północy w Londynie przyjęto meldunek:

CIASTO JEST PRZYPIECZONE, WSZYSTKIEMU WINNA
„PIRANIA“.

Kapitan Keller w Peenemünde

Nazajutrz po próbie V-2 kapitan Keller melduje się w sztabie ochrony ośrodka Peenemünde. Młody porucznik patrzy z zazdrością na udekorowaną pierś bohaterskiego oficera. Kapitan Keller podaje rozkaz przydziału i czeka na dyspozycję. Młody oficer robi niewyraźną minę. Kapitan pilnie studiuje jego reakcję.

— Proszę chwileczkę poczekać, zaraz wrócę...

Są przeżycia trwające zaledwie kilka minut, ale niszczą one system nerwowy w większym stopniu aniżeli normalna praca w ciągu kilkunastu lat. W dziesięć minut później wraca oficer personalny.

— Dziwne, że nie otrzymaliśmy jeszcze pańskich dokumentów z OKH.

— Poruczniku — uśmiecha się kapitan Keller — pan zapomniał, że tydzień temu bombardowano Berlin. W takiej sytuacji nie tylko moje dokumenty mogą zaginać.

Keller otrzymał przydział do drugiej kompanii wartowniczej, ochraniającej miejsca wyrzutni. Nazajutrz, podczas odprawy oficerów ochrony, pułkownik Andert informuje zebranych:

— Wczoraj w nocy schwytano trzech angielskich szpiegów. Należy ze wszech miar wzmocnić czujność.

Kapitan Keller zadaje pytanie:

— Co się z nimi stało?

— Usiłowali uciec w stronę lasu. Dwóch zastrzelono na miejscu, trzeci zmarł rano w szpitalu.

Po przeszło dwudziestu sześciu dniach pobytu w Peenemünde Tanecker spotkał Koonighana. Spotkanie odbyło się w kasynie. Stwierdzili z rozpaczą, że profesor Dornberger mógł już wysłać kopie dokumentów rakiety do poszczególnych fabryk, znajdujących się w różnych miejscach III Rzeszy. A zadanie Taneckera polegało właśnie na tym, aby dostarczyć Royal Air Force dokładne informacje o miejscu przechowania dokumentów i mieszkaniach personelu technicznego. Celem ataku bombowego miały być przede wszystkim wille głównych inżynierów i centralne archiwum zakładu. Tanecker nie wiedział jeszcze, że Dornberger i von Braun mieli złożyć w najbliższych dniach wizytę Hitlerowi w jego kwaterze w Prusach Wschodnich. Dopiero wówczas miano przystąpić do seryjnej produkcji rakiet.

Sytuacja stawała się z każdym dniem coraz bardziej dramatyczna.

Chmury pokryły gwiazdziste niebo i deszcz zaczął padać dużymi kroplami. Dwaj mężczyźni wyszli z kasyna i udali się w kierunku osiedla. Chwilę trwało milczenie, w końcu odezwał się Tanecker:

— Słuchaj, Fred, nie można inaczej: jutro rano musisz opuścić Peenemünde. „Pirania” z pewnością cię rozpoznała. Udasz się do naszej placówki w Berlinie. Ja proponuję „Piranii” współpracę albo... — w tym miejscu wykonał

znaczący gest ręką — w najgorszym wypadku zginie tylko jeden z nas.

Następnego dnia wieczorem major Tanecker zapukał do mieszkania „Piranii”. Od razu odkrył karty.

— W Polsce wydano na panią wyrok śmierci. Ma pani na sumieniu kilku oficerów wywiadu radzieckiego. My zawdzięczamy pani likwidację naszej paryskiej placówki. O końcowym rezultacie wojny nie będę mówił, pani jest świetnie poinformowana.

Maria osłupiała. Tanecker nawet nie przypuszczał, że jego ostatni argument wywrze na niej tak silne wrażenie. Zanim ochłonęła, major spytał:

— Ile?

Micaro spojrzała na niego nieco zdziwiona.

— Ile pani żąda? — powtórzył.

— 10 tysięcy — odparła.

— Pani przestała się cenić, Mario. Upoważniono mnie do oferowania pani o wiele więcej. Dziś jeszcze Londyn przekaże telegraficznie tę sumę do dyspozycji Banku Genewskiego.

Dalszy ciąg rozmowy miał już spokojniejszy charakter.

— Jakie szczegóły dotyczące inżyniera Meiera przekazała pani Abwehrze?

— Żadnych.

— Proszę wobec tego jutro zawiadomić pułkownika Anderta, że wpadła pani na trop szpiegowskiej siatki angielskiej. Meier opuścił dzisiaj Peenemünde.

Nazajutrz pułkownik Andert wydał rozkaz rewizji w mieszkaniu inżyniera Meiera. „Pirania” zaś zdała pierwszy raport nowemu szefowi. Tanecker dowiedział się, że w Niemczech przystąpiono do masowej produkcji V-2.

A więc nie istniały żadne możliwości zlokalizowania problemu V-2 do obszarów laboratorium w Peenemünde. Major Tanecker wydał „Piranii” następujące polecenie: wiad angielski musi dowiedzieć się w ciągu najbliższych dni, jakie zakłady produkują rakiety V-2 i w jakich ilościach.

Na nocnej placówce w Pile

Wkrótce „Pirania” na polecenie admirała Canarisa została przeniesiona do Piły. Niemiecki sztab generalny założył tam Centrum Wyszkożenia Broni Rakietowej. W Pile szkolono, formowano i ekwipowano jednostki V-2. Do Piły przybyli technicy i inżynierowie, odkomenderowani ze wszystkich jednostek Wehrmachtu do dyspozycji broni rakietowej. W sąsiedztwie, w Borach Tucholskich, Niemcy założyli główne magazyny V-2. Baza ta obsługiwała wszystkie jednostki broni rakietowej.

Wkrótce major Tanecker otrzymał pierwszy meldunek z Piły:

BATERIE V-2 SKŁADAJA SIĘ Z TRZECH RAKIET. TRANSPORT ODBYWA SIĘ NA SPECJALNYCH CIĄGNIKACH. RAKIETY W MOMENCIE WYSTRZAŁU ODDALONE SĄ OD SIEBIE O 3 KM. ETATOWA OBSŁUGA JEDNEJ RAKIETY — 32 LUDZI. KAŻDA BATERIA BRONIONA JEST PRZEZ GRUPĘ CZOLGÓW.

Następny meldunek:

BATERIE V-2 PO SFORMOWANIU W DYWIZJONY NIE WCHODZĄ W SKŁAD JEDNOSTEK WEHRMACHTU, PODLEGAJĄ BEZPOŚREDNIO REICHSFUHREROWI SS — HIMMLEROWI.

Maria przekazywała meldunki pod szyfrem nekrologów żołnierzy niemieckich poległych na froncie wschodnim,

nekrologów zamieszczanych w centralnym organie partii hitlerowskiej „Völkischer Beobachter”.

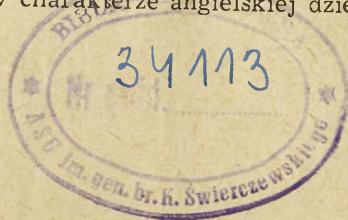
W tym samym dniu, w którym pułkownik Andert zawiadomił komendanturę, że na terenie Peenemünde istniała siatka szpiegowska, oficer personalny prosił OKH o telefoniczne potwierdzenie rozkazu przeniesienia kapitana Kellera do Peenemünde.

Major Tanecker wpadł w ręce Abwehry. Mimo to łączność między „Piranią” a Secret Service utrzymywała się do kwietnia 1945 roku. „Völkischer Beobachter” służył nadal jako środek porozumienia.

Epilog

W kwietniu 1945 roku Himmler wydał rozkaz, aby cały zespół konstruktorów z Peenemünde z kompletnym wyposażeniem laboratorium ewakuować w rejon Alp. W Alpach gromadzono ostatnie zapasy V-2. W trzy tygodnie później tereny te zajęli Amerykanie. Po krótkim pobycie w Niemczech Dornberger i Braun z całym sztabem swoich pomocników „zaproszeni” zostali do USA.

Na terenie Niemiec „Pirania” pojawiła się jeszcze dwukrotnie. Natychmiast po kapitulacji III Rzeszy — jako ekspertka od problemów broni rakietowej, posiadająca bezcenne informacje o ludziach z Peenemünde, zajęła się ich wyławianiem. I wreszcie w okresie procesu norymberskiego — w charakterze angielskiej dziennikarki.



SPIS RZECZY

OPERACJA „X”	5
AZK NIE ODPOWIADA	20
OPERACJA „BIEGUN PÓŁNOCNY”	40
SZPIEG Z „PAPAGALLO”	57
„DALEKI SKOK”	73
SZEŚĆ RAZY „REBEKA”	86
ŚMIERĆ SAMURAJA	100
PULAPKA	118
OSTATNI POJEDYNEK	138

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”. Warszawa 1962 r.
Nakład 20.000+250 egz. Ark. wyd. 6,8. Ark. druk. 9,5.
Papier druk. sat. V kl., 70 g, 70x100 z f-ki Często-
chowa. Oddano do składania w lipcu 1962 r. Druk
ukończono w styczniu 1963 r. Wojskowa Drukarnia
w Gdyni. Zlec. nr 1144. 62. O III-10567. Cena zł 15,—

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

1295

VLAD
D
VLAD
AD